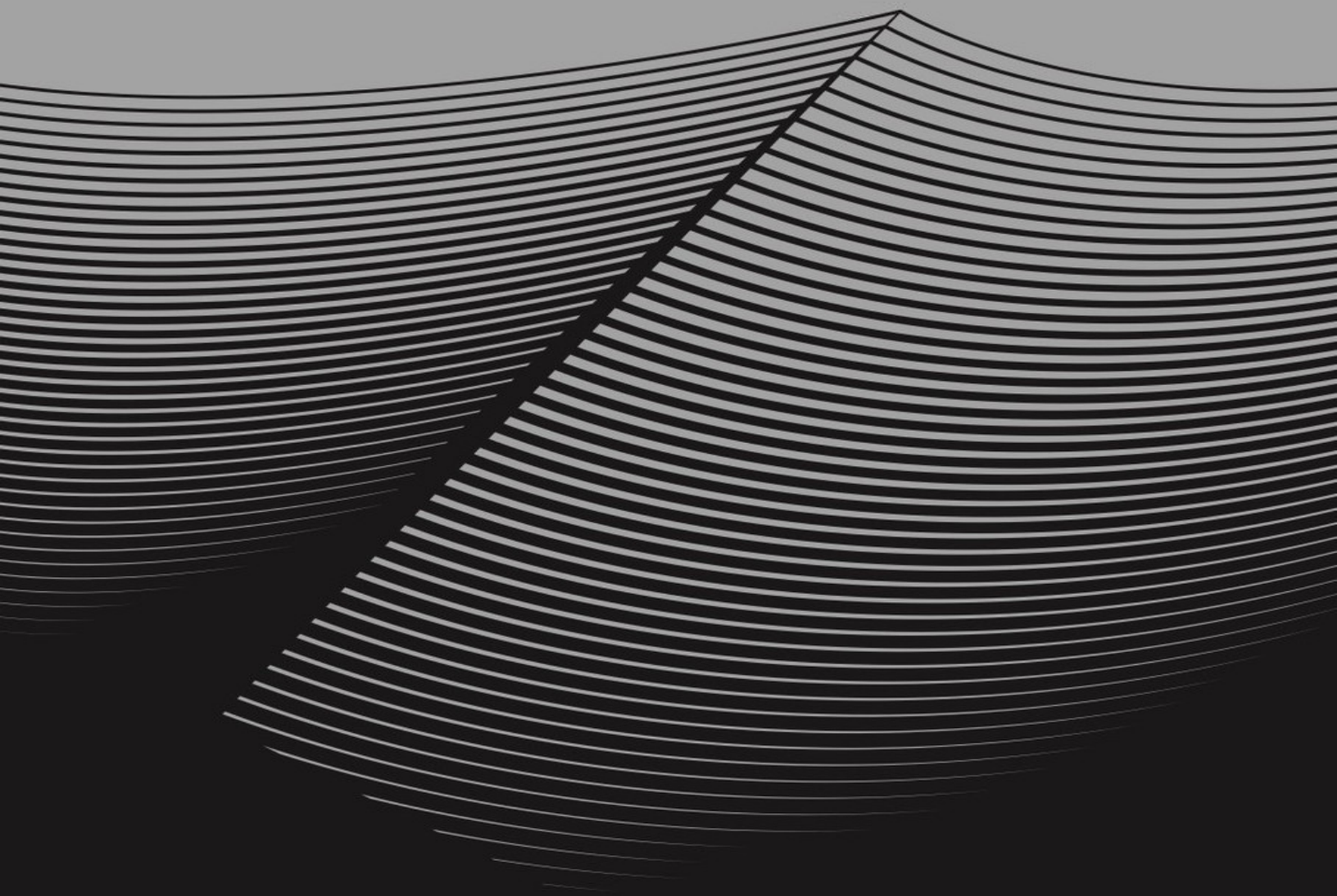

Obcy

Albert Camus

Obcy

Albert Camus

Przełożył Marek Bieńczyk

Państwowy Instytut Wydawniczy

Tytuł oryginału
L'Étranger

Projekt okładki i stron tytułowych
Łukasz Piskorek

Redaktor prowadzący
Kamil Piwowarski

Opracowanie redakcyjne
Anna Wasilewska

Korekta
Małgorzata Denys, Renata Kuk, Maciej Korbasiński

L'Étranger © Éditions Gallimard, Paris 1942. All rights reserved
© Copyright for the Polish edition
by Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2021
© Copyright for the Polish translation by Marek Bieńczyk, 2021

Pierwsza wersja przekładu Marka Bieńczyka ukazała się na łamach „Literatury na Świecie" (7–8/2018) Tłumacz dziękuje panu Piotrowi Musze za inspirującą rozmowę o *Obcym*

Wydanie 2 w tej edycji, Warszawa 2022

Państwowy Instytut Wydawniczy
ul. Foksal 17, 00-372 Warszawa
tel. 22 826 02 01 e-mail: piw@piw.pl

Księgarnia internetowa www.piw.pl
Polub PIW na Facebooku
www.fb.com/panstwowyinstytutwydawniczy

Skład wersji elektronicznej: Michał Latusek

ISBN 978-83-8196-435-7

SPIS TREŚCI

Część pierwsza
- I
- II
- III
- IV
- V
- VI

Część druga
- I
- II
- III
- IV
- V

Polecamy

Część pierwsza

I

Dzisiaj umarła mama. A może wczoraj, nie wiem. Z przytułku przyszedł telegram: „Matka zmarła. Pogrzeb jutro. Wyrazy szacunku”. To niczego nie wyjaśnia. Może to stało się wczoraj.

Przytułek dla starców znajduje się w Marengo, osiemdziesiąt kilometrów od Algieru. Złapię autobus o drugiej i przyjadę po południu. Nocą będę mógł czuwać przy zwłokach i wrócę jutro wieczorem. Poprosiłem szefa o dwa dni urlopu; w takiej sytuacji nie mógł mi odmówić. Ale nie wyglądał na zadowolonego. Powiedziałem mu nawet: „To nie z mojej winy”. Nie odpowiedział. Pomyślałem wówczas, że nie powinienem mu tego mówić. Nie było przecież z czego się tłumaczyć. Raczej to on powinien złożyć mi kondolencje. Z pewnością uczyni to pojutrze, kiedy ujrzy mnie w żałobie. Na razie jest trochę tak, jakby mama nie umarła. Ale po pogrzebie będzie po wszystkim i znowu będziemy na oficjalnej stopie.

Pojechałem autobusem o drugiej. Zrobiło się gorąco. Obiad zjadłem jak zawsze w restauracji u Céleste’a. Wszystkim było niezmiernie przykro z mojego powodu i Céleste powiedział: „Matkę ma się tylko jedną”. Kiedy wychodziłem, odprowadzano mnie do drzwi. Byłem trochę nieprzytomny, bo trzeba było jeszcze wpaść do Emmanuela po czarny krawat i opaskę. Parę miesięcy temu stracił wuja.

Musiałem podbiec, żeby zdążyć na autobus. Cały ten pośpiech, bieg, a do tego wyboje na drodze, zapach benzyny, odblask szosy i nieba, wszystko to sprawiło, że się zdrzemnąłem. Spałem przez niemal całą drogę. Obudziłem się wsparty o jakiegoś żołnierza; uśmiechnął się i spytał, czy jadę z daleka. Powiedziałem „tak”, aby nie ciągnąć rozmowy.

Przytułek leży dwa kilometry za miastem. Dotarłem tam pieszo. Chciałem od razu zobaczyć mamę. Ale dozorca powiedział, że powinienem spotkać się z dyrektorem. Był zajęty, więc chwilę czekałem. Dozorca wciąż coś do mnie mówił, aż wreszcie ujrzałem

dyrektora: przyjął mnie w gabinecie. Niepozorny staruszek z Legią Honorową. Spojrzał na mnie swoimi jasnymi oczyma. Po czym uścisnął mi dłoń; trzymał ją tak długo, że nie bardzo wiedziałem, jak ją wycofać. Następnie przejrzał dokumenty i powiedział: „Pani Meursault została przyjęta trzy lata temu. Pan był jej jedyną podporą". Pomyślałem, że coś mi zarzuca, i zacząłem się tłumaczyć. Ale mi przerwał: „Nie trzeba się usprawiedliwiać, synu. Czytałem akta pańskiej matki. Nie mógł pan sprostać jej potrzebom. Wymagała stałej opieki. Pańskie pobory są skromne. Zważywszy na to wszystko, tutaj było jej lepiej". Powiedziałem: „Tak, panie dyrektorze". A on dodał: „Wie pan, tu miała przyjaciół, ludzi w jej wieku. Mogła dzielić się z nimi sprawami, które należą do minionych czasów. Pan jest młody i przy panu z pewnością się nudziła".

To prawda. W domu matka spędzała czas, niemo wodząc za mną wzrokiem. W pierwszych dniach pobytu w przytułku często płakała. Ale to z powodu przyzwyczajenia. Po paru miesiącach płakałaby, gdyby ją z przytułku zabrać. Również z przyzwyczajenia. Głównie dlatego w ostatnim roku niemal tu nie przyjeżdżałem. No i dlatego, że zabierało mi to niedzielę – nie mówiąc o całym trudzie dojścia do autobusu, zakupie biletów i dwóch godzinach jazdy.

Dyrektor jeszcze coś do mnie mówił. Ale już go prawie nie słuchałem. Wreszcie rzekł: „Przypuszczam, że chciałby pan zobaczyć matkę". Wstałem bez słowa, a on pierwszy ruszył do drzwi. Na schodach wyjaśnił: „Przenieśliśmy ją do naszej małej kostnicy. Aby nie trapić innych. Kiedy tylko jakiś pensjonariusz umiera, pozostali na parę dni robią się nerwowi. To utrudnia pracę". Przeszliśmy przez dziedziniec pełen starców; gawędzili w małych grupkach. Milkli, kiedy przechodziliśmy obok. Potem wracali do rozmowy. Jakbym słyszał krzykliwą paplaninę papug. Dyrektor doprowadził mnie do drzwi małego budynku: „Tu pana zostawiam, panie Meursault. Jestem w biurze do pańskich usług. Zasadniczo pogrzeb przewidziano na dziesiątą rano. Uznaliśmy, że w ten sposób będzie pan mógł czuwać przez noc przy zmarłej. I jeszcze słówko: pańska matka, zdaje się, często wyrażała przed kolegami pragnienie pogrzebu kościelnego. Podjąłem się niezbędnych przygotowań. Ale

chciałem pana o tym powiadomić”. Podziękowałem mu. Mama, choć nie była ateistką, za życia nigdy nie myślała o religii.

Wszedłem. Sala była bardzo jasna, pobielona wapnem i pokryta szklanym dachem. Za umeblowanie służyły krzesła i kozły w kształcie iksa. Dwa z nich, pośrodku, dźwigały trumnę z zamkniętym wiekiem. Widać było tylko lekko wkręcone błyszczące śruby; wystawały z zabejcowanych na orzechowo desek. Obok trumny stała pielęgniarka, Arabka w białym kitlu i z jaskrawą chustą na głowie.

W tym momencie za moimi plecami przystanął dozorca. Musiał biec. Nieco się jąkał: „Zamknęliśmy trumnę, ale odkręcę, żeby mógł pan spojrzeć”. Już do niej podchodził, kiedy go powstrzymałem. Spytał: „Nie życzy pan sobie?”. Odpowiedziałem: „Nie”. Zamilkł, a ja stałem zakłopotany, gdyż poczułem, że nie powinienem był tego mówić. Po chwili spojrzał na mnie i spytał: „Dlaczego?”, ale bez wyrzutu w głosie, tak jakby chciał tylko się upewnić. Powiedziałem: „Nie wiem”. Kręcąc siwego wąsa, oznajmił, nie patrząc na mnie: „Rozumiem”. Miał piękne jasnoniebieskie oczy i ceglastą karnację. Przysunął mi krzesło, a sam usiadł za mną. Pielęgniarka wstała i skierowała się w stronę wyjścia. Wówczas dozorca powiedział: „Dostała szankra”. Nie zrozumiałem, spojrzałem więc na pielęgniarkę i spostrzegłem, że ma głowę owiniętą bandażem, który nie zakrywa jej oczu. Na wysokości nosa bandaż był płaski. Z całej twarzy przebijała tylko jego biel.

Kiedy wyszła, dozorca powiedział: „Zostawiam tu pana samego”. Nie wiem, jaki gest wykonałem, w każdym razie nie wyszedł i trzymał się za mną. Jego obecność za plecami mnie krępowała. Piękne światło popołudnia rozlewało się po sali. Pod szklanym dachem brzęczały dwa szerszenie. Czułem, jak ogarnia mnie senność. Nie odwracając się, zapytałem dozorcę: „Długo już tu pan pracuje?”. Odpowiedział natychmiast: „Pięć lat”, jakby od dawna czekał na to pytanie.

Później rozgadał się w najlepsze. Sam by się zdziwił, gdyby mu kiedyś powiedziano, że skończy jako dozorca przytułku w Marengo. Ma sześćdziesiąt cztery lata i pochodzi z Paryża. W tym momencie przerwałem mu: „Jakże, to pan nie jest stąd?”. Po czym

przypomniałem sobie, że nim zaprowadził mnie do dyrektora, mówił o mamie. Powiedział, że należy ją szybko pogrzebać, gdyż na równinie, zwłaszcza w tej okolicy, panuje skwar. To wtedy wyjawił, że mieszkał w Paryżu i trudno mu o nim zapomnieć. W Paryżu pozostaje się ze zmarłym niekiedy całe trzy, cztery dni. Tutaj nie ma czasu, człowiek nie przywykł jeszcze do myśli, a już musi gonić za trumną. Żona wpadła mu w słowo: „Siedź cicho, takich rzeczy nie powinno się panu mówić". Stary poczerwieniał i przepraszał. Przerwałem mu: „Ależ nie ma za co. Nie ma za co". To, o czym mówił, wydawało mi się trafne i interesujące.

W kostnicy powiadomił mnie, że trafił do przytułku jako nędzarz. Ale że czuł się na siłach, zaproponował siebie samego na stanowisko dozorcy. Zauważyłem, że właściwie i on jest pensjonariuszem. Powiedział, że nie. Uderzył mnie jego sposób wymawiania: „oni", „tamci", rzadziej „staruchy", kiedy opowiadał o pensjonariuszach, z których nie wszyscy byli od niego starsi. Ale, rzecz jasna, to nie to samo. On był dozorcą i w pewnym zakresie miał nad nimi władzę.

W tym momencie weszła pielęgniarka. Wieczór zapadł nagle. Noc szybko zgęstniała nad szklanym dachem. Dozorca przekręcił wyłącznik i oślepił mnie gwałtowny bryzg światła. Zaprosił mnie na kolację do refektarza. Ale nie czułem głodu. Zaofiarował filiżankę kawy z mlekiem. Ponieważ bardzo lubię kawę z mlekiem, zgodziłem się i chwilę później powrócił z tacą. Wypiłem. Poczułem od razu ochotę na papierosa. Ale zawahałem się, nie wiedząc, czy mogę zapalić przy mamie. Uznałem, że to nie ma żadnego znaczenia. Poczęstowałem dozorcę i paliliśmy razem.

W pewnej chwili powiedział: „Wie pan, przyjaciele pańskiej szanownej matki też przyjdą tu czuwać. Taki jest zwyczaj. Muszę pójść po krzesła i kawę". Spytałem go, czy można zgasić jedną z lamp. Odblask światła na białych ścianach mnie męczył. Powiedział mi, że to niemożliwe. Kwestia instalacji: wszystko albo nic. Nie zwracałem już na niego większej uwagi. Wyszedł, wrócił, porozstawiał krzesła. Na jednym ustawił stos filiżanek przy dzbanku z kawą. Po czym usiadł naprzeciw, po drugiej stronie mamy. Pielęgniarka siedziała w głębi, plecami do mnie. Nie widziałem, co robi. Ale po ruchach ramion mogłem się domyślić, że szydełkuje.

Powietrze zrobiło się łagodne, kawa mnie rozgrzała i przez otwarte drzwi dolatywał zapach nocy i kwiatów. Chyba zdrzemnąłem się na chwilkę.

Obudził mnie jakiś szelest. Ponieważ oczy miałem wcześniej zamknięte, pomieszczenie jeszcze bardziej oślepiło mnie swoją bielą. Przede mną nie było skrawka cienia i każda rzecz, każdy kąt, wszystkie linie krzywe rysowały się z bolesną dla oczu jaskrawością. W tym samym momencie weszli przyjaciele mamy. Było ich z dziesięcioro i cicho przemknęli w oślepiającym świetle. Usiedli, lecz żadne krzesło nie zatrzeszczało. Patrzyłem na nich, jak nigdy mi się nie zdarzyło, i nie umykał mi żaden szczegół twarzy czy ubrań. A przecież nie było ich słychać i z trudem mogłem uznać, że istnieją naprawdę. Prawie wszystkie kobiety nosiły fartuch i sznurowy pasek, który ściskał im talię i uwydatniał ich opasłe brzuchy. Dotąd nigdy nie zauważyłem, jak tęgie mogą być stare kobiety. Mężczyźni byli niemal bez wyjątku bardzo chudzi i trzymali laski. Uderzało mnie w ich twarzach to, że nie dostrzegałem oczu, a jedynie stępiony błysk w gnieździe zmarszczek. Kiedy siadali, większość z nich spojrzała na mnie i skinęła z zakłopotaniem głową; ich wargi zostały w całości wchłonięte przez bezzębne usta i nie wiedziałem, czy mnie pozdrawiają, czy też był to jakiś tik. Myślę, że raczej mnie pozdrawiali. W tej samej chwili spostrzegłem, że każdemu kiwa się głowa i że wszyscy siedzą twarzą do mnie, skupieni wokół dozorcy. Przez moment miałem śmieszne wrażenie, że przyszli mnie osądzić.

Nieco później jedna z kobiet zaczęła płakać. Siedziała w drugim rzędzie, skryta za którąś z towarzyszek, i słabo ją widziałem. W regularnych odstępach rozlegał się głośny szloch: myślałem, że to nigdy się nie skończy. Reszta jakby tego w ogóle nie słyszała. Zwisali z krzeseł w milczeniu, z żałobnymi minami. Wpatrywali się w trumnę bądź w swoje laski, czy w cokolwiek innego, ale nie przestawali się wpatrywać. Kobieta wciąż płakała. Bardzo mnie to dziwiło, gdyż jej nie znałem. Wolałbym już jej nie słyszeć. Ale nie śmiałem jej tego powiedzieć. Dozorca pochylił się w jej stronę, przemówił, lecz ona tylko potrząsnęła głową, wymamrotała coś i nadal łkała, w tych samych równych odstępach. Przeszedł więc na moją stronę. Usiadł obok. Po dłuższej chwili, nie patrząc na mnie,

powiadomił mnie: „Była bardzo blisko z pańską szanowną matką. Mówi, że była tutaj jej jedyną przyjaciółką i że teraz nie ma nikogo”.

Siedzieliśmy tak przez dłuższą chwilę. Westchnienia i łkanie kobiety stały się rzadsze. Raz po raz pociągała nosem. Wreszcie ucichła. Nie chciało mi się już spać, lecz byłem zmęczony i bolały mnie lędźwie. Teraz z kolei źle znosiłem milczenie wszystkich tych ludzi. Tylko od czasu do czasu dochodził mnie jakiś szczególny dźwięk i nie mogłem pojąć, skąd się bierze. Wreszcie domyśliłem się, że kilku starców wsysało policzki, czemu towarzyszyły dziwne cmoknięcia. Byli tak bardzo pogrążeni w myślach, że sami nie zdawali sobie z tego sprawy. Odniosłem nawet wrażenie, że zmarła leżąca między nimi nic dla tych ludzi nie znaczy. Ale teraz sądzę, że wrażenie było fałszywe.

Wszyscy piliśmy kawę podaną przez dozorcę. A co było dalej, sam już nie wiem. Noc minęła. Przypominam sobie, że w pewnej chwili otworzyłem oczy i zobaczyłem, że wszyscy starcy osunęli się na krzesłach we śnie z wyjątkiem jednego, który opierał podbródek o dłonie zaciśnięte na lasce i wpatrywał się we mnie, jakby czekał, aż się przebudzę. Po czym znowu usnąłem. Obudziłem się, gdyż coraz bardziej bolały mnie lędźwie. Na szklany dach spłynął dzień. Później jeden ze starców obudził się i dostał ataku kaszlu. Pluł do dużej kraciastej chustki, a każde splunięcie rozrywało mu płuca. Obudził pozostałych i dozorca powiedział, że mają już sobie iść. Wstali. Od tego czuwania w niewygodzie twarze im spopielały. Wychodząc, wszyscy ku memu zdziwieniu uścisnęli mi dłoń – tak jakby noc, podczas której nie zamieniliśmy słowa, wzmogła naszą bliskość.

Byłem zmęczony. Dozorca zaprowadził mnie do siebie i trochę się umyłem. Wypiłem jeszcze jedną kawę z mlekiem, bardzo smaczną. Kiedy wyszedłem, było już całkiem jasno. Nad wzgórzami oddzielającymi Marengo od morza czerwieniało niebo. A przelatujący wiatr przynosił zapach soli. Zapowiadał się kolejny piękny dzień. Od dawna nie byłem już na wsi i poczułem, jak przyjemnie byłoby tu połazić, gdyby nie mama.

Ale czekałem na dziedzińcu pod platanem. Wdychałem zapach świeżej ziemi i senność przeszła. Myślałem o kolegach z biura. O tej godzinie wstawali już, by pójść do pracy: dla mnie to była zawsze

najtrudniejsza chwila. Rozważałem jeszcze tę kwestię, kiedy przerwał mi dzwon bijący wewnątrz zabudowań. Za oknami zrobiło się jakieś poruszenie i zaraz zapanował spokój. Słońce wspięło się po niebie jeszcze wyżej: zaczynało grzać mnie w stopy. Dozorca przeciął dziedziniec i powiedział mi, że dyrektor prosi do siebie. Poszedłem do jego gabinetu. Dał mi do podpisu wiele różnych papierów. Zauważyłem, że jest ubrany na czarno i ma prążkowane spodnie. Chwycił słuchawkę telefonu i zwrócił się do mnie: „Pracownicy zakładu pogrzebowego już tu są. Poproszę ich o zamknięcie trumny. Czy chce pan wcześniej po raz ostatni zobaczyć matkę?". Powiedziałem, że nie. Cichszym głosem wydał przez telefon polecenie: „Figeac, przekaż swoim, że już mogą".

Następnie powiedział, że będzie uczestniczył w pogrzebie, i podziękowałem mu. Usiadł za biurkiem, skrzyżował krótkie nogi. Uprzedził mnie, że będziemy sami, nie licząc dyżurnej pielęgniarki. Pensjonariuszom z zasady nie wolno uczestniczyć w pogrzebach. Pozwalał im jedynie czuwać w nocy: „Ze względów humanitarnych" – zauważył. Jednak tym razem zgodził się na przemarsz w kondukcie żałobnym starego przyjaciela mamy: Thomasa Péreza. Tu dyrektor się uśmiechnął: „Widzi pan, to było nieco dziecięce uczucie. On i pańska matka nie odstępowali siebie na krok. W zakładzie żartowano, dogadywano Pérezowi: «To twoja narzeczona». A on się śmiał. Sprawiało im to przyjemność. Faktem jest, że śmierć pani Meursault doprawdy nim wstrząsnęła. Sądziłem, że nie powinno mu się odmówić. Ale za radą lekarza, który tu dojeżdża, zabroniłem mu wczorajszego czuwania".

Przez dłuższy czas milczeliśmy. Dyrektor wstał i wyjrzał przez okno gabinetu. Po chwili poinformował mnie: „Jest już ksiądz z Marengo. Pośpieszył się". Uprzedził mnie, że trzeba co najmniej trzech kwadransów, by dotrzeć piechotą do kościoła w samym środku miasteczka. Zeszliśmy. Przed budynkiem stał ksiądz i dwóch ministrantów. Jeden z nich trzymał kadzielnicę i ksiądz pochylił się, by dopasować długość srebrnego łańcuszka. Kiedy podeszliśmy, wyprostował się. Powiedział do mnie „mój synu" i jeszcze kilka innych słów. Wszedł do środka; ruszyłem za nim.

Zauważyłem od razu, że śruby trumny zostały wkręcone, a w pomieszczeniu stało czterech mężczyzn ubranych na czarno. Jednocześnie usłyszałem dyrektora mówiącego, że karawan czeka na drodze; ksiądz rozpoczął modlitwy. Od tej chwili wszystko potoczyło się bardzo szybko. Mężczyźni podeszli do trumny, niosąc żałobne sukno. Ksiądz, jego świta, dyrektor i ja wyszliśmy. Przy drzwiach stała kobieta, której nie znałem: „Pan Meursault" – rzekł dyrektor. Nie dosłyszałem nazwiska, pojąłem tylko, że była wyznaczoną na pogrzeb pielęgniarką. Skłoniła kościstą, podłużną twarz bez uśmiechu. Odsunęliśmy się, by przepuścić ciało. Wyszliśmy z przytułku za niosącymi trumnę. Przy bramie stał karawan. Polakierowany, podłużny, lśniący, przywodził na myśl piórnik. Obok stał mistrz ceremonii, niski mężczyzna w śmiesznym stroju, i starzec, jakby za kogoś przebrany. Pojąłem, że to pan Pérez. Miał filcowy, miękki kapelusz z okrągłą główką i rozłożystym rondem (zdjął go, kiedy trumna przekroczyła bramę), garnitur, którego nogawki zawijały mu się wokół butów, i zbyt wąską czarną muszkę do koszuli z wielkim białym kołnierzem. Jego wargi pod nosem obsianym czarnymi punkcikami drżały. Spomiędzy białych, dość rzadkich włosów wystawały dziwaczne, sterczące uszy o poszarpanych brzegach, których krwisty kolor na tle trupio bladej twarzy był uderzający. Mistrz ceremonii wskazał nam miejsca. Ksiądz szedł z przodu, za nim sunął karawan. Wokół niego czterech mężczyzn. Za nimi dyrektor, ja, a na końcu konduktu wyznaczona pielęgniarka i pan Pérez.

Niebo było już całkiem słoneczne. Zaczynało ciążyć nad ziemią i upał wzmagał się gwałtownie. Nie wiem, dlaczego odczekaliśmy dłuższą chwilę, nim ruszyliśmy. W ciemnym ubraniu było mi gorąco. Staruszek, który miał na głowie kapelusz, teraz go zdjął. Odwróciłem się nieznacznie i wpatrywałem w niego, kiedy dyrektor zaczął mi o nim opowiadać. Mówił, że moja matka i pan Pérez wieczorami często chodzili na spacer do miasteczka w towarzystwie pielęgniarki. Rozejrzałem się po okolicy. Widząc te linie cyprysów prowadzące aż na wzgórza, pod niebo, tę rudo-zieloną ziemię, te pojedyncze, tak dobrze rozrysowane domki, rozumiałem mamę. Wieczór w takiej krainie musiał być niczym melancholijny rozejm. Dzisiaj rozlewające

się dookoła słońce wprawiało pejzaż w drżenie i czyniło go nieludzkim i przygnębiającym.

Ruszyliśmy. Wtedy spostrzegłem, że Pérez lekko utyka. Karawan powoli się rozpędzał i starzec zaczął zostawać z tyłu. Jeden z mężczyzn, którzy otaczali karawan, również pozwolił się wyprzedzić i szedł teraz równo ze mną. Byłem zaskoczony tempem, w jakim słońce pięło się po niebie. Zauważyłem, że wieś już od dłuższej chwili rozbrzmiewała brzęczeniem owadów i suchym szelestem traw. Pot spływał mi po policzkach. Ponieważ nie miałem kapelusza, wachlowałem się chusteczką. Pracownik zakładu pogrzebowego powiedział do mnie coś, czego nie dosłyszałem. Jednocześnie wycierał sobie głowę chustką, którą trzymał w lewej dłoni, podczas gdy prawa unosiła brzeg czapki. Powiedziałem: „Słucham?". Powtórzył, wskazując na niebo: „Ale ukrop". Powiedziałem: „Tak". Po chwili zapytał: „Czy to pańska matka?". Raz jeszcze powiedziałem: „Tak". „Czy była bardzo stara?" Odpowiedziałem: „W miarę", gdyż nie wiedziałem, ile dokładnie miała lat. Wtedy zamilkł. Odwróciłem się i zobaczyłem starego Péreza pięćdziesiąt metrów za nami. Śpieszył się, machając równomiernie kapeluszem w dłoni. Popatrzyłem też na dyrektora. Szedł z wielką godnością, bez żadnego zbędnego gestu. Na czole perliło mu się kilka kropel potu, lecz ich nie ścierał.

Zdawało mi się, że kondukt posuwa się szybciej. Wokół mnie rozciągała się wciąż ta sama rozświetlona przestrzeń, nasączona słońcem. Blask nieba był nie do zniesienia. W pewnej chwili wkroczyliśmy na odcinek drogi, który niedawno odnowiono. Asfalt rozpękł się w słońcu. Stopy zapadały się i pozostawiały za sobą błyszczącą miazgę. Wystający nad karawanem skórzany kapelusz woźnicy zdawał się wyciśnięty z tej samej czarnej mazi. Czułem się nieco zagubiony między błękitem nieba a monotonią kolorów, lepką czernią rozwartej smoły, matową czernią strojów, połyskliwą czernią powozu. Wszystko to, słońce, zapach skóry i łajna za powozem, zapach lakieru i kadzidła, zmęczenie po nieprzespanej nocy, mąciło mi wzrok i myśli. Odwróciłem się ponownie: Pérez, daleko stąd, gubił się w oparach żaru, po chwili już mi znikł z oczu. Szukałem go wzrokiem i spostrzegłem, że zboczył i poszedł polem. Zauważyłem

też, że przede mną droga skręca. Pojąłem, że Pérez, który znał okolicę, ruszył na przełaj, żeby nas dogonić. Doszlusował na zakręcie. Później raz jeszcze go zgubiliśmy. Poszedł znowu przez pole i tak to się powtarzało. Czułem, jak krew wali mi w skroniach.

Wszystko odbyło się tak szybko, pewnie i naturalnie, że nic mi nie pozostało w pamięci. To jedno: kiedy wchodziliśmy do miasteczka, odezwała się do mnie wyznaczona pielęgniarka. Miała szczególny tembr głosu, melodyjny, drżący, niepasujący do jej twarzy. Powiedziała: „W tym tempie można dostać udaru. Ale przy szybkim kroku człowiek tak się spoci, że w kościele chwytają go dreszcze". Miała rację. Nie było dobrego wyjścia. Zachowałem w pamięci jeszcze kilka obrazów z tego dnia: na przykład twarz Péreza, kiedy blisko miasteczka dogonił nas po raz ostatni. Na policzkach błyszczały mu grube łzy z nerwów i znoju. Ale z powodu zmarszczek nie spływały w dół. Rozlewały się na boki, łączyły na powrót i na zniszczonej twarzy tworzyły lusterko wody. A później był kościół, wieśniacy na chodnikach, czerwone geranium na cmentarnych grobach, omdlenie Péreza (można by rzec, bezwładny pajacyk), ziemia koloru krwi rzucana na trumnę mamy, blade ciało korzeni zaplątanych w ziemię, jeszcze jacyś ludzie, głosy, miasteczko, oczekiwanie przed kawiarnią, nieustanny warkot silnika, moja radość, kiedy autobus wjechał w gęste światła Algieru, i myśl, że zaraz się położę i prześpię bitych dwanaście godzin.

II

Budząc się, pojąłem, dlaczego szef wyglądał na niezadowolonego, kiedy poprosiłem go o dwa dni urlopu: dziś mamy sobotę. Właściwie o tym zapomniałem, lecz gdy wstawałem z łóżka, naszła mnie taka myśl. Mój szef, co naturalne, musiał pomyśleć, że wraz z niedzielą będę miał cztery dni wolnego, i nie mogło mu się to spodobać. Lecz w końcu to nie z mojej winy grzebano mamę wczoraj, a nie dzisiaj, wolną sobotę oraz niedzielę i tak bym przecież miał. Oczywiście nie przeszkadza mi to zrozumieć szefa.

Wstawałem z trudem, gdyż zmęczył mnie wczorajszy dzień. Przy goleniu rozważałem, co mógłbym zrobić, i stanęło na kąpieli. Do kąpieliska przy porcie pojechałem tramwajem. Zanurzyłem się w basenie. Było dużo młodzieży. W wodzie natknąłem się na Marie Cardona, byłą maszynistkę z mojej pracy; miałem kiedyś na nią chętkę. A ona na mnie, jak sądzę. Ale wkrótce odeszła z pracy i nie było czasu. Pomogłem jej wgramolić się na pomost i przy tym musnąłem piersi. Byłem jeszcze w wodzie, a ona już leżała na płask. Wdrapałem się na pomost obok niej. Było przyjemnie i niby żartem odchyliłem głowę i położyłem na jej brzuchu. Nic nie powiedziała i tak zostałem. Miałem w oczach całe niebo, było błękitne i złote. Czułem, jak pod moim karkiem brzuch Marie lekko pulsuje. Leżeliśmy długo na pomoście, na wpół uśpieni. Kiedy słońce stało się zbyt mocne, zsunęła się do wody, zrobiłem to samo. Dogoniłem ją, oplotłem ręką jej talię i płynęliśmy razem. Wciąż się śmiała. Kiedy schnęliśmy na brzegu, powiedziała: „Jestem ciemniejsza niż pan". Spytałem, czy chciałaby pójść wieczorem do kina. Znowu się roześmiała i powiedziała, że miałaby ochotę obejrzeć film z Fernandelem. Kiedy już się ubraliśmy, wydawała się zdziwiona widokiem mojego czarnego krawata i spytała, czy jestem w żałobie. Powiedziałem, że mama umarła. Ponieważ chciała się dowiedzieć kiedy, odpowiedziałem: „Wczoraj". Jakby się zawahała, ale nie zrobiła żadnej uwagi. Chciałem jej rzec, że przecież nie z mojej winy, lecz

powstrzymałem się na myśl, że powiedziałem to już szefowi. To bez znaczenia. Tak czy inaczej, zawsze jest się trochę winnym.

Wieczorem Marie o wszystkim zapomniała. Film był chwilami śmieszny i doprawdy głupawy. Przyciskała nogę do mojej. Gładziłem jej piersi. Pod koniec seansu pocałowałem ją, ale niezręcznie. Po filmie poszliśmy do mnie.

Kiedy się obudziłem, Marie już nie było. Wyjaśniła mi wcześniej, że musi wpaść do ciotki. Pomyślałem, że jest niedziela, i poczułem przykrość: nie lubię niedzieli. Wróciłem więc do łóżka, szukałem na materacu zapachu soli, który pozostawiły włosy Marie, i spałem do dziesiątej. Później paliłem w łóżku aż do południa. Nie chciało mi się wpaść jak zawsze na obiad do Céleste'a, gdyż z pewnością by mnie wypytywali, a tego nie lubię. Zrobiłem sobie jajka i zjadłem prosto z patelni, bez chleba, bo zabrakło, a wyjść i kupić mi się nie chciało.

Po obiedzie trochę się nudziłem i kręciłem po mieszkaniu. Dopóki mama tu mieszkała, było wygodne. Teraz jest dla mnie za duże i musiałem przenieść stół z jadalni do sypialni. Mieszkam już tylko tutaj, między krzesłami wyplatanymi słomą, o nieco zapadniętych siedzeniach, szafą z zaśniedziałym lustrem, toaletką i mosiężnym łóżkiem. Reszta leży odłogiem. Nieco później, chcąc czymś się zająć, sięgnąłem po starą gazetę i czytałem. Wyciąłem reklamę soli Kruschena i wkleiłem ją do starego zeszytu, gdzie przechowuję wycinki gazetowe, które mnie rozbawiły. Umyłem ręce i na koniec wyszedłem na balkon.

Mój pokój wychodzi na główną ulicę przedmieścia. Popołudnie było piękne. Jednak bruk był jeszcze lepki, ludzi niewielu, gdzieś się śpieszyli. Wreszcie pojawiła się rodzina idąca na spacer, dwóch chłopczyków w marynarskich strojach, ze spodenkami powyżej kolan, nieco skrępowanych sztywnymi ubrankami, i dziewczynka z wielką różową kokardą i w czarnych lakierkach. Za nimi zwalista matka w jedwabnej brązowej sukience i ojciec, niski, dość wątły mężczyzna, znany mi z widzenia. Miał słomkowy kapelusz, muchę i laseczkę w dłoni. Widząc go u boku żony, pojąłem, dlaczego w dzielnicy mówiono o nim, że jest wytworny. Nieco później przeszli miejscowi młodzieńcy, mieli wypomadowane włosy, nosili czerwone krawaty, zbyt obcisłe kurtki z wyszywaną kieszonką i półbuty

z kwadratowymi noskami. Pomyślałem, że wybierają się do kina w śródmieściu. Dlatego wyszli tak wcześnie i z głośnym śmiechem biegli do tramwaju.

Ulica powoli opustoszała. Zapewne seanse już wszędzie się zaczęły. Na ulicy pozostali tylko sklepikarze i koty. Niebo było jasne, lecz nad fikusami rosnącymi wzdłuż ulicy pozbawione blasku. Na przeciwległym chodniku sprzedawca tytoniu wyciągnął krzesło, ustawił je przed drzwiami, usiadł nań okrakiem, oplatając ramionami oparcie. Tramwaje, przed chwilą jeszcze pełne, teraz jechały niemal puste. W kawiarence „U Pierrota", obok sklepiku z tytoniem, kelner wymiatał trociny z opustoszałej sali. Była naprawdę niedziela.

Odwróciłem krzesło i ustawiłem je tak jak sprzedawca tytoniu, widocznie w ten sposób było wygodniej. Wypaliłem dwa papierosy, wróciłem po kawałek czekolady i zjadłem go przy oknie. Nieco później niebo pociemniało i pomyślałem, że nadchodzi letnia burza. Ale znowu się odkryło. Tyle że przemarsz chmur pozostawił na ulicy jakby obietnicę deszczu, przez co pociemniała. Stałem długo, wpatrzony w niebo.

O piątej ze stukotem nadjechały tramwaje. Z podmiejskiego stadionu przywoziły na stopniach kiście widzów uczepionych poręczy. Kolejne tramwaje przywiozły graczy, których rozpoznałem po niewielkich walizkach. Wrzeszczeli i śpiewali gromko, że ich klub nigdy nie polegnie. Kilku z nich pomachało mi. Jeden nawet krzyknął: „Ale im dokopaliśmy". Kiwnąłem głową, że jasne. Począwszy od tej chwili zaczęły napływać auta.

Dzień zbliżał się do końca. Ponad dachami niebo pokraśniało i wraz z zapadającym wieczorem ulice się ożywiły. Było coraz więcej spacerowiczów. Rozpoznałem wśród nich wytwornego pana. Dzieci płakały albo dawały się ciągnąć za rękę. Dzielnicowe kina wyrzuciły na chodniki falę widzów. Młodzieńcy gestykulowali raźniej niż zazwyczaj i pomyślałem, że obejrzeli film przygodowy. Wracający z kin w mieście pojawili się później. Byli bardziej skupieni. Wciąż się śmiali, ale chwilami wydawali się znużeni lub rozmarzeni. Nie odchodzili jeszcze, kręcili się po przeciwległym chodniku. Dziewczyny z dzielnicy, z odkrytymi głowami, trzymały się pod ręce. Młodzieńcy ustawiali się tak, aby przeciąć im drogę, i rzucali żarciki,

na które odpowiadały śmiechem, patrząc w drugą stronę. Kilka z nich, które znałem, pomachało do mnie.

Latarnie uliczne zapaliły się nagle i pierwsze wschodzące w nocy gwiazdy pobladły. Poczułem, że oczy mi się męczą od gapienia się w chodniki z ich ciężarem ludzi i świateł. W blasku latarni rozjarzył się wilgotny bruk, a tramwaje w równych odstępach rzucały blaski na lśniące włosy, na czyjś uśmiech albo na srebrną bransoletkę. Nieco później, gdy tramwaje przerzedziły się i czarna już noc zeszła na drzewa i latarnie, dzielnica niezauważenie wyludniła się, aż wreszcie pierwszy kot ospale przeszedł przez pustą ulicę. Pomyślałem, że pora na kolację. Od długiego opierania się o krzesło rozbolała mnie szyja. Zszedłem po chleb i makaron, coś upichciłem i zjadłem na stojąco. Miałem ochotę na papierosa w oknie, lecz ochłodziło się i było mi trochę zimno. Zamknąłem okna i wracając, dostrzegłem w lustrze skrawek stołu, na którym lampa spirytusowa sąsiadowała z okruchami chleba. Pomyślałem, że kolejną niedzielę mam już za sobą, że mama jest teraz pochowana, że wrócę do pracy i że właściwie nic się nie zmieniło.

III

Dzisiaj w biurze porządnie się napracowałem. Szef był miły. Zapytał, czy nie jestem zbyt zmęczony, i ciekaw był wieku mamy. Powiedziałem „około sześćdziesiątki”, żeby się nie pomylić, nie wiedzieć czemu przyjął to z ulgą i sprawę uznał za zamkniętą.

Na stole nagromadził się stos dokumentów przewozowych, które musiałem po kolei obejrzeć. Przed wyjściem z biura na obiad umyłem ręce. Lubię tę chwilę w samo południe. Wieczorem sprawia mi to mniejszą przyjemność, gdyż ręcznik w rolce, którego wszyscy używają, całkiem wilgotnieje: służył przez cały dzień. Któregoś dnia zwróciłem na to uwagę szefowi. Odpowiedział, że jest to godne pożałowania, lecz ostatecznie to szczegół bez znaczenia. Na obiad wyszedłem nieco później, o wpół do pierwszej, razem z Emmanuelem, który pracuje przy wysyłce. Biuro wychodzi na morze i przez chwilę gapiliśmy się na transportowce w rozpalonym od słońca porcie. W tym momencie nadjechała ciężarówka, brzęcząc łańcuchami i strzelając z rury wydechowej. Emmanuel zapytał „lecimy?” i puściłem się biegiem. Ciężarówka nas minęła, rzuciliśmy się za nią w pogoń. Dusił mnie kurz i ogłuszał hałas. Nie widziałem i nie czułem już nic, poza tym pędem wśród dźwigów i maszyn, masztów roztańczonych na horyzoncie i kadłubów mijanych statków. Pierwszy chwyciłem za klapę i wskoczyłem w biegu. Następnie pomogłem wgramolić się Emmanuelowi. Nie mogliśmy złapać tchu, a ciężarówka podskakiwała na nierównym bruku, pośród kurzu i słońca. Emmanuel śmiał się do rozpuku.

Dotarliśmy do Céleste’a zlani potem. Stał jak to on: zawsze w fartuchu z tym swoim wielkim brzuchem i białymi wąsami. Spytał, czy „mimo wszystko jakoś leci”. Powiedziałem, że tak i że jestem głodny. Zjadłem bardzo szybko i wypiłem kawę. Później wróciłem do siebie i zdrzemnąłem się, bo przesadziłem z winem; kiedy się obudziłem, zachciało mi się palić. Zrobiło się późno i musiałem wskakiwać do tramwaju w biegu. Pracowałem całe popołudnie.

W biurze było gorąco i kiedy wychodziłem wieczorem, czułem się szczęśliwy, że będę mógł wrócić spacerkiem wzdłuż nabrzeży. Niebo było zielone, czułem zadowolenie. Wróciłem jednak prosto do domu, bo chciałem ugotować sobie kartofli.

Wchodząc po ciemnych schodach, wpadłem na starego Salamana, sąsiada z piętra. Był z psem. Od ośmiu lat widuje się ich razem. Spaniel cierpi na chorobę skórną, zapewne różę, od której traci sierść; jego skóra jest cała w plamach i brunatnych strupach. Mieszkając z nim w jednym pokoiku, stary Salamano w końcu się do niego upodobnił. Ma czerwonawe strupki na twarzy i żółtą, rzadką szczecinę. Pies z kolei przejął od swego pana przygarbioną postawę, z pyskiem wysuniętym do przodu na wyciągniętej szyi. Wyglądają na istoty tej samej rasy, a przecież siebie nienawidzą. Dwa razy na dzień, o jedenastej rano i szóstej wieczorem, stary wyprowadza psa na spacer. Od ośmiu lat nie zmienili trasy. Można ich spotkać idących rue de Lyon; pies ciągnie człowieka, dopóki stary Salamano się nie potknie. Wówczas okłada psa i go lży. Pies czołga się z przerażenia i pozwala wlec. Wtedy to stary go ciągnie. Po chwili pies zapomina i to on znowu ciągnie swojego pana, i znowu spadają na niego razy i złorzeczenia. Stoją wówczas obaj na chodniku i patrzą na siebie, pies z przerażeniem, człowiek z nienawiścią. I tak dzień w dzień. Kiedy pies chce się wysikać, stary mu nie pozwala i go ciągnie, przez co spaniel rozpyla za sobą smugę drobniutkich kropelek. Jeśli przypadkiem pies narobi w domu, znowu dostaje baty. Trwa to od ośmiu lat. Céleste wciąż powtarza, że to „przykra sprawa”, lecz w gruncie rzeczy co ludzie mogą wiedzieć. Kiedy natknąłem się na Salamana na schodach, właśnie wymyślał spanielowi. Mówił do niego: „Ty gnido! Ty ścierwo!”, a pies skowyczał. Powiedziałem „dobry wieczór”, lecz stary nadal mu wymyślał. Więc zapytałem, co takiego pies zrobił. Nie odpowiedział. Powtarzał tylko: „Ty gnido! Ty ścierwo!”. Domyśliłem się, że pochylony nad psem poprawiał coś przy jego obroży. Powtórzyłem głośniej. Wówczas nie odwracając się, odparł z powstrzymywaną wściekłością: „Jeszcze żyje”. I poszedł, ciągnąc zwierzę, które sunęło na czterech łapach i skowyczało.

W tym momencie pojawił się drugi sąsiad z piętra. W dzielnicy mówią, że utrzymuje się z kobiet. Kiedy go jednak spytać o zawód, okazuje się „magazynierem”. Jest powszechnie nielubiany. Ale mnie często zagaduje i spędza u mnie chwilkę, bo ja go wysłuchuję. Uważam, że to, co mówi, jest zajmujące. Zresztą nie mam żadnego powodu, żeby z nim nie rozmawiać. Nazywa się Raymond Sintès. Jest niewysoki, barczysty, z nosem boksera. I zawsze starannie ubrany. On również, gdy zeszło na Salamana, powiedział mi: „Przykra sprawa”. Spytał, czy nie czuję obrzydzenia, odrzekłem, że nie.

Weszliśmy na piętro i już miałem się z nim pożegnać, gdy powiedział: „Mam w domu kiszkę i wino. Może zechce pan wpaść, przekąsimy co nieco?”. Pomyślałem, że uwolni mnie to od gotowania, i się zgodziłem. On też ma tylko jeden pokój ze ślepą kuchnią. Nad łóżkiem wisi anioł z bladoróżowego stiuku, zdjęcia czempionów i kilka fotosów z nagimi kobietami. Pokój był brudny, łóżko rozkopane. Najpierw zapalił lampę naftową, po czym wyciągnął z kieszeni opatrunek wątpliwej czystości i owinął nim prawą rękę. Zapytałem, co mu jest. Powiedział, że pobił się z jednym takim, co się go czepiał.

„Niech pan mnie dobrze rozumie, panie Meursault – powiedział – ja nie jestem zły, ja jestem porywczy. Tamten do mnie: «Wysiadaj z tramwaju, jeśli jesteś mężczyzną». To ja do niego: «No, ty, uspokój się». A on powiedział, że nie jestem mężczyzną. No to wysiadłem i powiedziałem: «Ej, starczy, bo jak nie, to śliwki ci na gębie obrodzą». Na co on: «Że jak?». No to mu przyłożyłem. Upadł. Chciałem go podnieść, ale przykopał mi wprost z ziemi. No to przyłożyłem mu kolanem i puściłem dwie piąchy. Aż krew mu poszła. Zapytałem go, czy ma dość. Powiedział: «Tak»”.

Przez cały czas Sintès poprawiał bandaż. Siedziałem na łóżku. Powiedział: „Widzisz pan, że nie szukałem zwady. To on zaczął”. To była prawda i przytaknąłem. Wtedy oświadczył, że właśnie chciał mnie prosić o radę w tej sprawie, bo ja jestem mężczyzną i znam życie, mógłbym mu pomóc i on wtedy zostanie moim kumplem. Nic nie powiedziałem, spytał znowu, czy chciałbym być jego kumplem. Powiedziałem, że wszystko mi jedno: zrobił zadowoloną minę. Wyciągnął kiszkę, usmażył ją na patelni, postawił szklanki, dwie

butelki wina i rozłożył talerze. Wszystko w milczeniu. Następnie zasiedliśmy do stołu. Jedząc, zaczął mi opowiadać o sobie. Najpierw nieco się wahał. „Poznałem pewną damę… była, no cóż, moją kochanką”. Mężczyzna, z którym się pobił, był bratem tej kobiety. Sintès powiedział, że ją utrzymywał. Nie odpowiedziałem, a jednak od razu dodał, że wie, co wygadują w dzielnicy, lecz on ma swoje sumienie i jest magazynierem.

„A co do tamtej sprawy – powiedział – zauważyłem, że ktoś mnie tu robi w trąbę”. Dawał jej tylko na życie. Opłacał jej komorne i dawał dwadzieścia franków dziennie na jedzenie. „Trzysta franków pokój, sześćset franków jedzenie, czasami para pończoch, w sumie jakieś tysiąc franków. A madame nie pracowała. Ale twierdziła, że to nieco za mało, że jej nie starcza. Więc ja jej na to: «Dlaczego nie pójdziesz do roboty choćby na pół dnia? Ulżyłoby mi trochę. Kupiłem ci w tym miesiącu komplet bielizny, płacę ci dwadzieścia franków dziennie, płacę komorne, a ty sobie po południu na kawkę zapraszasz przyjaciółki. Podajesz im kawę i cukier. Ja tobie daję pieniądze. Zachowuję się jak człowiek, a ty tak mi się odpłacasz». Jednak nie poszła do roboty, wciąż mówiła, że jej nie starcza, i w ten sposób połapałem się, że ktoś mnie tu robi w trąbę”.

Opowiedział mi następnie, jak to w jej torebce znalazł los na loterię, a ona nie umiała mu wyjaśnić, za co go kupiła. Nieco później zauważył „pewien ślad” z lombardu, dowodzący, że zastawiła dwie bransoletki. Dotychczas nic o tych bransoletkach nie wiedział. „Dobrze wiedziałem, że robi mnie w trąbę. No to ją rzuciłem. Ale najpierw trochę oberwała. A potem powiedziałem jej, w co gra. Powiedziałem, że ona tylko jedno, tę rzecz, ma w głowie. Powiedziałem jej, pan to zrozumie, panie Meursault: «Nie widzisz, że wszyscy zazdroszczą ci szczęścia, które ci daję. Kiedyś przekonasz się, jak wielkie było to szczęście»”.

Pobił ją do krwi. Przedtem jej nie bił. „Czasem jej przyłożyłem, ale – że tak powiem – czule. Krzyczała nieco. Zamykałem okiennice i tak to się zawsze kończyło. Ale teraz poszło na całość. Moim zdaniem nie dość ją jednak ukarałem”.

Wyjaśnił mi następnie, że właśnie dlatego pragnie się poradzić. Zamilkł na chwilę, by skrócić knot lampy, który zaczął kopcić.

Słuchałem go nadal. Wypiłem jakiś litr wina i paliły mnie skronie. Sięgnąłem po papierosy Raymonda, bo moje się skończyły. Przejeżdżały ostatnie tramwaje, unosząc ze sobą odgłosy przedmieścia. Raymond mówił dalej. Problem był w tym, że „jeszcze tęsknił za kopulacją". Ale zamierzał ją ukarać. Najpierw chciał ją zaciągnąć do hotelu i wezwać obyczajówkę, aby wywołać skandal i żeby wciągnęli jej nazwisko do kartoteki. Następnie zwrócił się do przyjaciół ze środowiska. Niczego nie odkryli. Doprawdy, zauważył Raymond, warto było trzymać z nimi sztamę. Powiedział im to i wtedy zaproponowali, że ją „wystawią". Ale tego akurat nie chciał. Musiał się zastanowić. A przedtem chciałby mnie o coś poprosić. Zresztą zanim mnie poprosi, chciałby się dowiedzieć, co ja o tej historii myślę. Odpowiedziałem, że nic nie myślę, ale że jest interesująca. Spytał mnie, czy sądzę, że robi się go w trąbę, więc odparłem, że tak, robi, i czy uważam, że należy ją ukarać, i co bym zrobił na jego miejscu, więc powiedziałem, że nigdy nic nie wiadomo, ale rozumiem, że chce ją ukarać. Wypiłem jeszcze trochę wina. Zapalił papierosa i wyłuszczył swój plan. Chciał do niej napisać list, w którym „by jej przywalił, ale tak, żeby zaczęła żałować". Później, kiedy już do niego wróci, pójdzie z nią do łóżka i „dokładnie w szczytowym momencie" splunie jej w twarz, po czym wyrzuci ją na dwór. Uznałem, że faktycznie, w ten sposób zostanie ukarana. Ale Raymond powiedział, że sam nie czuje się na siłach, by napisać list, i że pomyślał o mnie. Ponieważ nic nie mówiłem, spytał, czy nie sprawiłoby mi kłopotu, gdybym zrobił to od razu, odrzekłem, że nie.

Wypił jeszcze szklankę i wstał. Odsunął talerze i resztki zimnej kiszki. Starannie przetarł ceratę na blacie. Wyciągnął z szuflady nocnego stolika kartkę papieru w kratkę, żółtą kopertę, krótką czerwoną obsadkę z drewna i kwadratowy kałamarz z fioletowym atramentem. Kiedy podał nazwisko kobiety, pojąłem, że jest Mauretanką. Napisałem list. Trochę jak leci, lecz starałem się, by Raymond był zadowolony, nie miałem przecież powodu, aby go nie zadowolić. Przeczytałem list na głos. Słuchał mnie, paląc i kiwając głową, po czym poprosił, bym odczytał go ponownie. Był całkiem zadowolony. Powiedział: „Dobrze wiedziałem, że kumasz życie". Nie od razu zdałem sobie sprawę, że przeszedł na ty. Doszło to do mnie

dopiero wówczas, gdy oświadczył: „Teraz to z ciebie kumpel”. Powtórzył to, a ja powiedziałem: „Tak”. Było mi wszystko jedno, czy jestem jego kumplem, czy nie, a on naprawdę wyglądał na kogoś, komu zależy. Zakleił list i dopiliśmy wino. Potem paliliśmy w milczeniu. Na zewnątrz było cicho, usłyszeliśmy odgłos przejeżdżającego samochodu. Powiedziałem: „Zrobiło się późno”. Raymond potwierdził. Zauważył, że czas mija szybko, i w pewnym sensie miał rację. Chciało mi się spać, lecz trudno było mi się podnieść. Musiałem wyglądać na znużonego, bo Raymond stwierdził, że nie trzeba się dawać. Najpierw nie zrozumiałem. Wówczas wyjaśnił mi, że dowiedział się o śmierci mamy, ale takie rzeczy prędzej czy później muszą się zdarzyć. Też byłem tego zdania.

Wstałem, Raymond mocno uścisnął mi dłoń i powiedział, że faceci zawsze się dogadają. Wychodząc, zamknąłem za sobą drzwi i przez chwilę stałem w ciemnym korytarzu. W domu panował spokój, a z głębi schodów dochodził mroczny, wilgotny podmuch. Słyszałem tylko uderzenia krwi do uszu. Stałem nieruchomo. Ale w pokoju starego Salamana pies zaskowyczał głucho.

IV

Przez kolejny tydzień miałem dużo roboty. Wpadł Raymond i powiedział, że wysłał list. Poszedłem dwukrotnie do kina z Emmanuelem, który nie zawsze rozumie, co dzieje się na ekranie. Wtedy muszę mu tłumaczyć. Wczoraj była sobota i zgodnie z umową przyszła Marie. Bardzo jej zapragnąłem, gdyż była w skórzanych sandałach i pięknej sukience w biało-czerwone paski. Wyczuwało się jej twarde piersi, a jej rumiana, ciemna od opalenizny twarz wyglądała jak kwiat. Pojechaliśmy autobusem kilka kilometrów za Algier, na plażę wciśniętą między skały, a od strony lądu otoczoną trzcinami. Słońce o czwartej już tak nie prażyło, za to woda była ciepła, a fale płaskie, leniwe i długie. Marie nauczyła mnie pewnej zabawy. Płynąc, trzeba było nabrać w usta piany z grzbietu fal, przewrócić się na plecy i wypluć ją w stronę nieba. Wówczas tworzyła się musująca koronka, która rozmywała się w powietrzu lub opadała ciepłymi kroplami na twarz. Ale po pewnym czasie od goryczy soli zaczęły palić mnie usta. Marie podpłynęła i przytuliła się do mnie w wodzie. Przytknęła usta do moich. Jej język chłodził mi wargi i przez chwilę przetaczaliśmy się wśród fal.

Kiedy ubieraliśmy się na plaży, Marie miała rozpalony wzrok. Pocałowałem ją. Od tej chwili nie wymówiliśmy ani słowa. Przytuliłem ją do siebie i z pośpiechem wsiedliśmy do autobusu, by szybko wrócić, pojechać do mnie i rzucić się na łóżko. Zostawiłem otwarte okno i dobrze było czuć letnią noc spływającą po naszych śniadych ciałach.

Tego ranka Marie została i zapowiedziałem, że razem zjemy obiad. Zszedłem kupić mięsa. Kiedy wracałem na górę, z pokoju Raymonda dobiegł mnie kobiecy głos. Chwilę później stary Salamano warknął na swego psa, usłyszeliśmy odgłos podeszew i pazurów sunących po drewnianych schodach i zaraz potem „ty gnido, ty ścierwo!”; wyszli na ulicę. Opowiedziałem Marie historię starego, śmiała się. Miała na sobie jedną z moich piżam i podwinęła rękawy. Kiedy się śmiała,

znowu jej zapragnąłem. Potem zapytała mnie, czy ją kocham. Powiedziałem jej, że to nic nie znaczy, ale że chyba nie. Zrobiła smutną minę. Jednak kiedy szykowała obiad, znowu się śmiała z niczego i w taki sposób, że musiałem ją pocałować. I właśnie w tej chwili doszły nas odgłosy sprzeczki u Raymonda.

Najpierw usłyszeliśmy piskliwy głos kobiecy, a następnie Raymonda mówiącego: „Ubliżyłaś mi, ubliżyłaś. Ja ci pokażę, co to znaczy mi ubliżyć". Kilka głuchych plaśnięć i kobieta zaczęła wyć tak przeraźliwie, że na piętro wybiegli ludzie. Marie i ja również wyszliśmy. Kobieta wciąż krzyczała, a Raymond wciąż ją bił. Marie powiedziała, że to straszne, nie odpowiedziałem. Poprosiła, bym skoczył po policję, na co powiedziałem, że nie lubię policjantów. Ale jeden się pojawił, z lokatorem z drugiego piętra, hydraulikiem. Zastukał do drzwi i hałas ustał. Zastukał jeszcze mocniej i po chwili kobieta w środku zaczęła płakać, a Raymond otworzył. Trzymał w ustach papierosa i robił słodziutką minę. Dziewczyna rzuciła się do drzwi i oznajmiła policjantowi, że Raymond ją uderzył. „Nazwisko" – spytał policjant. Raymond odpowiedział. „Wyjmij papierosa z ust, kiedy do mnie mówisz" – powiedział policjant. Raymond zawahał się, spojrzał na mnie i się zaciągnął. W tym momencie policjant wymierzył mu siarczysty, solidny policzek. Papieros wylądował kilka metrów dalej. Raymond zmienił się na twarzy, ale nic nie powiedział i spytał pokornym głosem, czy może podnieść niedopałek. Policjant oznajmił, że może, i dodał: „Następnym razem będziesz wiedział, że z policją nie ma żartów". Przez ten czas dziewczyna płakała i powtarzała: „Pobił mnie. To alfons". „Panie władzo – zapytał wówczas Raymond – czy prawo pozwala nazwać człowieka alfonsem?" Wtedy policjant kazał mu „zamknąć gębę". Raymond odwrócił się w stronę dziewczyny i rzucił: „Zobaczysz, mała, jeszcze się spotkamy". Policjant powiedział mu, żeby się zamknął i że dziewczyna może sobie pójść, a on ma zostać w mieszkaniu i czekać, aż go wezwą na komisariat. Dodał, że Raymond powinien się wstydzić, że się upił, skoro aż tak się teraz trzęsie. Wtedy Raymond zaczął mu wyjaśniać: „Nie jestem pijany, panie władzo. Trzęsę się, bo jak tu stoję przed panem władzą, trudno mi się opanować". Zamknął drzwi i wszyscy się rozeszli.

Skończyliśmy z Marie szykować obiad. Ale nie była głodna, sam zjadłem niemal wszystko. Wyszła o pierwszej i zdrzemnąłem się trochę.

Około trzeciej rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Raymond. Nie wstałem. Przysiadł na brzegu łóżka. Przez chwilę milczał i spytałem, jak mają się sprawy. Powiedział, że zrobił, jak zamierzał, ale dała mu w twarz i wtedy zaczął ją bić. A resztę to sam widziałem. Powiedziałem mu, że na moje oko poniosła karę i powinien być zadowolony. Był tego samego zdania i stwierdził, że policjant to sobie może, bo ona i tak dostała za swoje i nic tego nie zmieni. Dodał, że dobrze zna policję i wie, jak sobie z nią radzić. Spytał mnie, czy spodziewałem się, że odpowie na policzek policjanta. Powiedziałem mu, że niczego się nie spodziewałem, a poza tym nie lubię policji. Raymond wydawał się bardzo zadowolony. Zapytał, czy chcę z nim wyjść. Wstałem i zacząłem się czesać. Powiedział, że muszę mu posłużyć za świadka. Było mi wszystko jedno, tylko nie wiedziałem, co trzeba będzie powiedzieć. Według Raymonda wystarczyło oświadczyć, że dziewczyna mu ubliżyła. Zgodziłem się zostać jego świadkiem.

Wyszliśmy i Raymond postawił mi lampkę koniaku. Potem zachciało mu się partyjki bilarda i nieznacznie przegrałem. Później chciał pójść do burdelu, lecz powiedziałem, że nie, bo nie lubię. Wróciliśmy więc spacerkiem do domu i mówił mi, jak bardzo jest zadowolony, że udało mu się ukarać kochankę. Był wobec mnie bardzo miły i pomyślałem, że przyjemnie spędziliśmy czas.

Z daleka dostrzegłem na progu domu starego Salamana, wyglądał na bardzo niespokojnego. Kiedy podeszliśmy, zauważyłem, że nie ma przy nim psa. Rozglądał się na wszystkie strony, miotał w kółko, usiłował coś wypatrzyć w ciemnej sieni, bełkotał do siebie nieskładnie i znowu przeszukiwał ulicę swymi czerwonymi oczkami. Kiedy Raymond zapytał, w czym rzecz, Salamano nie odpowiedział od razu. Dosłyszałem, jak mamrocze: „Ty gnido, ty ścierwo”, nie przestając się miotać. Spytałem go, gdzie pies. Odpowiedział gwałtownym tonem, że poszedł sobie. I nagle się rozgadał: „Wziąłem go jak zawsze na Champ de Manœuvres. Wokół bud jarmarcznych stało dużo ludzi. Przystanąłem, żeby obejrzeć «Króla ucieczek».

I kiedy miałem iść dalej, już go nie było. Fakt, że od dawna zamierzałem kupić mu węższą obrożę. Ale nigdy bym nie uwierzył, że to ścierwo może w ten sposób czmychnąć".

Raymond zaczął mu tłumaczyć, że pies się zabłąkał, ale się znajdzie. Przytoczył przykłady psów, które przeszły dziesiątki kilometrów, aby wrócić do swego pana. Mimo to staremu coraz bardziej puszczały nerwy. „Przecież zabiorą mi go, rozumiecie, panowie. Gdyby chociaż ktoś go przygarnął. Ale to niemożliwe, wszystkich odstręcza tymi strupami. Policja go schwyta, to pewne". Powiedziałem mu zatem, żeby poszedł do rakarza, gdzie za pewną opłatą zwrócą mu psa. Zapytał, czy ta opłata jest wysoka. Nie wiedziałem. Wtedy się wściekł: „Płacić za takie ścierwo, ach, niech sobie zdycha!". I zaczął go przeklinać. Raymond roześmiał się i wszedł do budynku. Poszedłem za nim i rozstaliśmy się na piętrze. Chwilę później usłyszałem kroki starego i pukanie do drzwi. Kiedy otworzyłem, stał przez chwilę na progu i rzekł: „Proszę wybaczyć, proszę wybaczyć". Powiedziałem, żeby wszedł, lecz nie zechciał. Patrzył na czubki butów i jego kostropate ręce się trzęsły. Nie patrząc mi w twarz, spytał: „Niechże pan powie, Meursault, nie zabiorą mi go? Oddadzą? Co ze mną będzie?". Powiedziałem, że u rakarza trzymają psy do dyspozycji właścicieli przez trzy dni, a później robią z nimi, co im się podoba. Patrzył na mnie i milczał. Po czym powiedział: „Do widzenia". Zamknął drzwi i słyszałem, jak łazi po pokoju. Zatrzeszczało łóżko. Po dziwnym, cichym odgłosie, który dobiegł zza ściany, zrozumiałem, że płacze. Nie wiem, dlaczego pomyślałem o mamie. Ale nazajutrz musiałem wstać wcześnie. Nie byłem głodny i położyłem się bez kolacji.

V

Raymond zadzwonił do mnie do biura. Powiedział, że jeden z jego przyjaciół (napomknął mu o mnie) zaprasza na niedzielę do swego domku pod Algierem. Odpowiedziałem, że chętnie bym pojechał, lecz obiecałem przyjaciółce, że spędzę ten dzień z nią. Raymond natychmiast oznajmił, że ją również zaprasza. Żonę przyjaciela bardzo ucieszy, że nie będzie sama w męskim gronie.

Chciałem od razu odłożyć słuchawkę, bo wiem, że szef nie lubi, gdy dzwonią do nas z miasta. Ale Raymond poprosił, bym poczekał, i powiedział, że mógłby wspomnieć o zaproszeniu dziś wieczorem, lecz chce mnie przed czymś uprzedzić. Przez cały dzień chodziła za nim grupa Arabów, wśród których był brat jego dawnej kochanki. „Jeśli zobaczysz go pod domem, wracając wieczorem, ostrzeż mnie". Powiedziałem, że nie ma sprawy.

W chwilę później wezwał mnie szef i byłem trochę nieswój, bo sądziłem, że powie mi, żebym mniej telefonował, a więcej pracował. Lecz w ogóle nie o to szło. Oznajmił, że chciałby porozmawiać o pewnym jeszcze mglistym projekcie. Ciekaw był tylko mojego zdania. Miał zamiar otworzyć w Paryżu biuro, które zajmie się interesami na miejscu i będzie bezpośrednio załatwiało sprawy z wielkimi spółkami, i chciałby wiedzieć, czy byłbym skłonny pojechać. Pozwoliłoby mi to mieszkać w Paryżu, a przez część roku podróżować. „Pan jest młody i sądzę, że taki tryb życia by się panu spodobał". Powiedziałem, że tak, lecz że w gruncie rzeczy jest mi wszystko jedno. Zapytał wówczas, czy nie pociąga mnie zmiana życia. Powiedziałem, że życia nie da się zmienić, że każde życie jest tyle samo warte i że moje całkiem mi pasuje. Zrobił niezadowoloną minę i rzekł, że nigdy nie odpowiadam wprost, że brak mi ambicji, a w interesach to oznacza katastrofę. Wróciłem do pracy. Wolałbym mu nie podpaść, lecz nie widziałem przyczyny, dla której miałbym zmienić życie. Jeśli dobrze się zastanowić, nie byłem nieszczęśliwy. Za czasów studenckich miewałem sporo podobnych ambicji. Ale

kiedy musiałem porzucić studia, bardzo szybko zrozumiałem, że wszystko to nie ma większego znaczenia.

Wieczorem przyszła po mnie Marie i zapytała, czy chciałbym się z nią ożenić. Powiedziałem, że jest mi wszystko jedno i że możemy to zrobić, jeśli sobie życzy. Chciała się więc dowiedzieć, czy ją kocham. Odpowiedziałem jak poprzednio, że to nic nie znaczy, ale że z pewnością jej nie kocham. „To po co się żenić?" – powiedziała. Wyjaśniłem jej, że to nie ma żadnego znaczenia i że jeśli tego pragnie, możemy się pobrać. Zresztą to ona sobie tego życzy, mnie natomiast pozostaje powiedzieć „tak". Zauważyła wówczas, że małżeństwo to poważna sprawa. Odpowiedziałem: „Nie". Przez chwilę milczała i patrzyła na mnie bez słowa. Po czym wróciła do rozmowy. Chciałaby tylko wiedzieć, czy przyjąłbym taką propozycję od innej kobiety, z którą byłbym związany w podobny sposób. Powiedziałem: „Naturalnie". Wówczas zaczęła się zastanawiać, czy ona mnie kocha, lecz na ten temat nie mogłem się wypowiedzieć. Po kolejnej chwili milczenia wyszeptała, że jestem dziwny i z pewnością dlatego mnie kocha, lecz być może któregoś dnia z tego samego powodu jej obrzydnę. Ponieważ, nie mając nic do powiedzenia, milczałem, z uśmiechem wzięła mnie pod ramię i oznajmiła, że pragnie wyjść za mnie. Odrzekłem, że kiedy tylko zechce. Wspomniałem jej wówczas o propozycji szefa i Marie powiedziała, że chciałaby poznać Paryż. Poinformowałem ją, że swego czasu tam mieszkałem, i spytała, jak tam jest. Powiedziałem: „Jest brudno. Wszędzie gołębie i ciemne podwórka. Ludzie mają białą skórę".

Później poszliśmy głównymi ulicami przez miasto. Kobiety były piękne i spytałem Marie, czy też to dostrzegła. Odpowiedziała, że tak i że mnie rozumie. Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Ale chciałem, żeby jeszcze ze mną pobyła, i powiedziałem, że moglibyśmy zjeść razem kolację u Céleste'a. Chętnie by poszła, lecz miała coś do zrobienia. Byliśmy już obok mojego domu i pożegnałem się z nią. Spojrzała na mnie: „Nie jesteś ciekaw, co mam do zrobienia?". Owszem, byłem, ale o tym nie pomyślałem i chyba miała mi to za złe. Na widok mojej niepewnej miny znowu się śmiała i przylgnęła do mnie całym ciałem, żeby podać mi usta.

Wpadłem na kolację do Céleste'a. Jadłem już w najlepsze, gdy weszła dziwna, niska kobieta i spytała, czy może usiąść przy moim stoliku. Naturalnie, może. Miała gwałtowne ruchy i oczy świeciły w jej twarzy niewielkiej jak jabłko. Zrzuciła żakiet i gorączkowo przeglądała jadłospis. Przywołała Céleste'a i od razu zamówiła wszystko, co wybrała, dobitnym i zarazem nerwowym głosem. Czekając na przystawki, otworzyła torebkę, wyjęła karteczkę i ołówek, obliczyła zawczasu rachunek, po czym wyjęła z kieszonki dokładną sumę wraz z napiwkiem i położyła ją przed sobą. Akurat przyniesiono przystawki, które pochłonęła w mgnieniu oka. Czekając na kolejne danie, ponownie wyciągnęła z torebki niebieski ołówek i gazetę z tygodniowym programem radia. Zakreśliła starannie jedną po drugiej niemal wszystkie audycje. Program zajmował prawie dwanaście stron i pracowała pilnie aż do końca posiłku. Już zdążyłem skończyć swój, a ona dalej zakreślała z tym samym oddaniem. Po czym wstała, włożyła żakiet z precyzją automatu i wyszła. Ponieważ nie miałem nic do roboty, również wyszedłem i przez chwilę sunąłem za nią. Przeniosła się na skraj chodnika i szła niewiarygodnie szybko i pewnie, nie oglądając się za siebie. W końcu straciłem ją z oczu i zawróciłem. Pomyślałem, że jest dziwna, lecz szybko o niej zapomniałem.

Przed moimi drzwiami wpadłem na starego Salamana. Poprosiłem, żeby wszedł; oznajmił mi, że pies przepadł, nie było go u rakarza. Pracownicy powiedzieli mu, że może ktoś go przejechał. Spytał ich, czy nie można by się dowiedzieć na komisariacie. Odpowiedzieli, że czegoś podobnego się nie odnotowuje, bo takie rzeczy zdarzają się co dzień. Powiedziałem staremu, że mógłby wziąć innego psa, lecz słusznie zauważył, że przyzwyczaił się do tego.

Przycupnąłem na łóżku, a Salamano usiadł na krześle przy stole. Był zwrócony do mnie twarzą i ręce trzymał na kolanach. Nie zdjął swojego starego kapelusza. Mamrotał urywki zdań pod pożółkłym wąsem. Nieco mnie nudził, lecz nie miałem nic do roboty i nie chciało mi się spać. Aby cokolwiek powiedzieć, zszedłem na temat psa. Powiedział, że wziął go po śmierci żony. Ożenił się dosyć późno. W młodości pociągał go teatr: w wojsku grywał w wodewilach. Ale ostatecznie zatrudnił się na kolei i nie żałował,

ponieważ dostaje teraz niewielką emeryturę. Nie był szczęśliwy z żoną, lecz w końcu jakoś się przyzwyczaił. Kiedy zmarła, poczuł się bardzo samotny. Wówczas poprosił kumpla z pracy, by znalazł mu psa, i dostał tego, jeszcze szczeniaka. Musiał karmić go smoczkiem. Ale że pies żyje krócej niż człowiek, ostatecznie zestarzeli się razem. „Miał zły charakter – powiedział Salamano. – Od czasu do czasu dochodziło do niesnasek. Ale to był jednak dobry pies". Powiedziałem, że był pięknej rasy, i Salamano chyba się ucieszył. „A jeszcze – dodał – nie widział go pan przed chorobą. Najpiękniejsza była u niego sierść". Odkąd pies zapadł na to skórne schorzenie, Salamano każdego wieczoru i ranka smarował go maścią. Ale jego zdaniem tak naprawdę to chorował na starość, a starości nie da się uleczyć.

W tym momencie ziewnąłem i stary oznajmił, że już wychodzi. Powiedziałem, że może zostać i że jest mi przykro z powodu jego psa; podziękował mi. Powiedział, że mama bardzo psa lubiła. Mówiąc o niej, nazywał ją „pańską biedną matką". Wyraził przypuszczenie, że musi mi być źle, odkąd mama umarła, i nic nie odrzekłem. Oznajmił wówczas szybko i z zakłopotaniem, że wie, iż w dzielnicy źle o mnie mówiono, bo oddałem mamę do przytułku, ale on mnie zna i wie, jak bardzo mamę kochałem. Odparłem, sam nie wiem po co, że nie miałem pojęcia o tym, iż źle o mnie myślano z tego powodu, ale przytułek wydał mi się czymś naturalnym, skoro nie miałem dość pieniędzy na opiekę dla mamy. „Zresztą – dodałem – od dawna nie miała mi już nic do powiedzenia i nudziła się w samotności". „Tak – powiedział – w przytułku można przynajmniej zawrzeć przyjaźnie". Przeprosił, że musi już iść. Chciał się położyć. Jego życie teraz się zmieniło i nie bardzo wiedział, co robić. Po raz pierwszy, odkąd go znałem, podał mi rękę, wstydliwie, i poczułem zrogowacenia na jego skórze. Uśmiechnął się lekko i na odchodne powiedział: „Mam nadzieję, że tej nocy psy nie będą szczekały. Wciąż myślę, że to mój".

VI

W niedzielę trudno było mi się dobudzić i Marie musiała do mnie przemawiać i mną potrząsać. Nie jedliśmy, bo mieliśmy ochotę na szybką kąpiel. Czułem się kompletnie pusty i trochę bolała mnie głowa. Papieros miał gorzki smak. Marie kpiła ze mnie, mówiąc, że mam „grobową minę". Włożyła sukienkę z białego płótna i rozpuściła włosy. Powiedziałem jej, że jest piękna, i roześmiała się zadowolona.

Schodząc, zapukaliśmy do drzwi Raymonda. Odpowiedział, że zaraz zejdzie. Na ulicy, wskutek zmęczenia, ale też zapewne dlatego, że nie otworzyliśmy okiennic, światło dzienne, nasączone mocnym słońcem, dosłownie rąbnęło mnie w twarz. Marie podskakiwała z radości i nie przestawała powtarzać, że dzień jest piękny. Poczułem się lepiej i spostrzegłem, że jestem głodny. Powiedziałem to Marie i wskazała na swoją ceratową torbę, do której włożyła nasze kostiumy kąpielowe i ręcznik. Pozostawało mi tylko czekać. Usłyszeliśmy, jak Raymond zamyka drzwi. Miał niebieskie spodnie, białą koszulę z krótkimi rękawami. Włożył słomkowy kapelusz, co rozśmieszyło Marie, a jego owłosione ramiona były bardzo blade. Budziły we mnie lekki wstręt. Powiedział do mnie: „Cześć, stary", a do Marie zwracał się „mademoiselle".

Poprzedniego dnia poszliśmy na komisariat i zaświadczyłem, że dziewczyna „ubliżyła" Raymondowi. Wymigał się ze sprawy za cenę upomnienia. Moich zeznań nie sprawdzano. Rozmawialiśmy o tym przed bramą, następnie postanowiliśmy jechać autobusem. Do plaży nie było daleko, ale w ten sposób dotrzemy szybciej. Raymond uważał, że jego przyjaciel ucieszy się naszym wcześniejszym przyjazdem. Mieliśmy już ruszyć w drogę, kiedy Raymond dał mi znak, żebym spojrzał przed siebie. Zobaczyłem grupę Arabów opierających się o witrynę sklepiku z papierosami. Patrzyli na nas w milczeniu, jak to oni, zupełnie jakbyśmy byli kamieniami albo martwymi drzewami. Raymond powiedział, że drugi od prawej to ten

jego gość; minę miał nietęgą. Dodał, że przecież już powinno być po sprawie. Marie nie bardzo rozumiała i spytała, o co chodzi. Powiedziałem jej, że chodzi o Arabów, mają coś do Raymonda. Chciała, żebyśmy natychmiast ruszali. Raymond odprężył się i roześmiał, mówiąc, że trzeba się pośpieszyć.

Poszliśmy na przystanek, który był nieco dalej, i Raymond oznajmił, że Arabowie nie idą za nami. Obejrzałem się. Stali tam, gdzie przedtem, i patrzyli równie obojętnie na miejsce, które przed chwilą opuściliśmy. Wsiedliśmy do autobusu. Raymondowi wyraźnie ulżyło i nie przestawał dowcipkować, by rozśmieszyć Marie. Czułem, że mu się podoba, lecz ona rzadko mu odpowiadała. Od czasu do czasu zerkała na niego i się śmiała.

Wysiedliśmy na przedmieściu Algieru. Plaża znajduje się nieopodal przystanku. Ale trzeba było najpierw pokonać małe płaskowzgórze, które wznosi się nad morzem i opada ku plaży. Pokrywały je żółtawe kamyki i asfodele, tak białe na tle mocnego już lazuru. Marie zabawiała się strącaniem płatków swoją torbą z ceraty. Szliśmy wzdłuż rzędów małych willi o zielonych lub białych ogrodzeniach; niektóre wille ze swymi werandami kryły się pod tamaryszkiem, inne stały nagie wśród skał. Zanim doszliśmy na skraj wzgórza, dojrzeliśmy już nieruchome morze i w oddali masywny przylądek śpiący w przejrzystej wodzie. Przez zastygłe powietrze doszedł nas cichy odgłos motoru. Zobaczyliśmy w oddali mały kuter przesuwający się niepostrzeżenie po lśniącym morzu. Marie zerwała kilka skalnych irysów. Ze zbocza opadającego ku morzu dostrzegliśmy parę kąpiących się już osób.

Przyjaciel Raymonda mieszkał w drewnianym domku na samym końcu plaży. Domek przylegał do skał i podpierające go słupy stały w samej wodzie. Raymond nas przedstawił. Jego przyjaciel nazywał się Masson. Był to wysoki, barczysty, mocno zbudowany facet, a jego żona, pulchna i miła, mówiła z lekkim paryskim akcentem. Powiedział, żebyśmy się rozgościli, rano nałowił i usmażył dużo rybek. Powiedziałem mu, jak bardzo podoba mi się jego domek. Poinformował mnie, że spędza tu soboty, niedziele i wszystkie wolne dni. „Z żoną dobrze się dogadujemy” – dodał. Jego żona i Marie

właśnie z czegoś się śmiały. Po raz pierwszy pomyślałem, że może naprawdę się ożenię.

Masson miał ochotę na kąpiel, lecz jego żona i Raymond nie chcieli z nim pójść. Zeszliśmy we trójkę i Marie od razu rzuciła się do wody. My z Massonem jeszcze zwlekaliśmy. Mówił powoli i spostrzegłem, że miał zwyczaj dodawać do każdego stwierdzenia „i powiem więcej", nawet jeśli w niczym nie wzbogacało to sensu zdania. O Marie powiedział mi: „Jest czarująca i powiem więcej, urocza". Później już nie zwracałem na to uwagi i chłonąłem rozkosz, jaką dawało mi słońce. Piasek zaczynał palić pod stopami. Wciąż smakowałem zapowiedź kąpieli, aż wreszcie rzekłem do Massona: „Idziemy?". Dałem nurka. Masson wchodził do wody powoli i zanurzył się dopiero w chwili, kiedy stracił grunt pod stopami. Płynął żabką, w kiepskim stylu, więc zostawiłem go i dołączyłem do Marie. Woda była zimna i pływanie dobrze mi robiło. Oddaliliśmy się z Marie od Massona i pełni radości czuliśmy doskonałą zgodność naszych ruchów.

Na pełnym morzu odwróciliśmy się na plecy i z mojej twarzy zwróconej ku niebu słońce zagarniało ostatnie płatki wody, która ściekała mi do ust. Zobaczyliśmy Massona zawracającego na plażę, by legnąć na słońcu. Z oddali wyglądał na olbrzyma. Marie chciała, żebyśmy popłynęli razem. Ustawiłem się z tyłu i objąłem ją wpół, posuwała się siłą ramion, a ja wspomagałem ją ruchami nóg. Cichy odgłos uderzanej wody ścigał nas przez ten ranek, dopóki nie poczułem zmęczenia. Puściłem więc Marie i wróciłem, płynąc teraz miarowo i głęboko oddychając. Na plaży położyłem się na brzuchu obok Massona, z głową na piasku. Powiedziałem mu, że „jest świetnie", był tego samego zdania. Wkrótce pojawiła się Marie. Odwróciłem się, żeby widzieć, jak nadchodzi. Była lepka od słonej wody i trzymała włosy z tyłu. Położyła się tuż przy mnie, bokiem w bok, i zdwojone ciepło jej ciała oraz słońca nieco mnie uśpiło.

Marie zaczęła mną potrząsać, mówiąc, że Masson wrócił już do siebie i obiad czeka. Zerwałem się na równe nogi, bo byłem głodny, ale Marie powiedziała, że od rana jej nie pocałowałem. To była prawda, a przecież miałem taką ochotę. „Chodź do wody" – powiedziała. Pobiegliśmy i rozciągnęliśmy się na pierwszych falach.

Zagarnęliśmy parę razy wodę i Marie przytuliła się do mnie. Poczułem jej nogi wokół moich i zapragnąłem jej.

Kiedy wracaliśmy, Masson już nas przywoływał. Powiedziałem, że bardzo zgłodniałem, i zaraz oznajmił swojej żonie, że mu się podobam. Chleb był smaczny, a swoją porcję ryb pożarłem. Potem było mięso z frytkami. Jedliśmy wszyscy w milczeniu. Masson co rusz popijał wino i dolewał mi bez przerwy. Przy kawie szumiało mi trochę w głowie i dużo paliłem. Masson, Raymond i ja rozważaliśmy wspólny sierpień na plaży przy podziale kosztów. Nagle Marie powiedziała: „Wiecie, która jest godzina? Wpół do dwunastej". Zdumiało nas to, ale Masson powiedział, że zjedliśmy bardzo wcześnie i tak ma być, bo godzina obiadu wybija wtedy, kiedy człowiek czuje głód. Nie wiem, dlaczego to rozśmieszyło Marie. Sądzę, że trochę za dużo wypiła. Masson spytał mnie wówczas, czy mam ochotę przejść się z nim po plaży. „Żona zawsze ucina sobie drzemkę po obiedzie. Ja tego nie lubię. Muszę pochodzić. Wciąż jej powtarzam, że dla zdrowia to lepsze. Ale w końcu jej sprawa". Marie oznajmiła, że zostanie z panią Masson, żeby pomóc jej w zmywaniu. Paryżanka powiedziała, że w takim razie należy wyprosić mężczyzn z domu. Wyszliśmy we trójkę.

Słońce waliło z góry na odlew i jego odblask na morzu był nie do zniesienia. Na plaży nie było już nikogo. Z domków stojących wprost nad morzem, na skraju płaskowzgórza, dochodziły brzęki talerzy i sztućców. W kamiennym żarze bijącym od ziemi nie dawało się oddychać. Z początku Raymond i Masson rozmawiali o sprawach i ludziach, których nie znałem. Zrozumiałem, że kumplują się od dawna i że w pewnym okresie mieszkali nawet razem. Podeszliśmy do wody i podążaliśmy wzdłuż brzegu. Niekiedy jakaś fala, dłuższa od innych, moczyła nasze płócienne półbuty. Nie myślałem o niczym, gdyż od słońca bijącego w odkrytą głowę brała mnie senność.

W tym momencie Raymond powiedział do Massona coś, czego nie dosłyszałem. Ale spostrzegłem równocześnie na samym końcu plaży, bardzo daleko od nas, dwóch Arabów w roboczych kombinezonach; szli w naszą stronę. Spojrzałem na Raymonda, powiedział: „To on". Szliśmy dalej. Masson spytał, w jaki sposób mogli trafić tu za nami.

Pomyślałem, że musieli widzieć, jak wsiadamy do autobusu z torbą plażową, lecz nic nie powiedziałem. Arabowie posuwali się powoli, teraz byli już całkiem blisko. Nie zwolniliśmy kroku, ale Raymond powiedział: „Jeśli dojdzie do bójki, ty, Masson, bierzesz tego drugiego. Ja zajmę się swoim. Jeśli pojawi się trzeci, będzie dla ciebie, Meursault". Powiedziałem: „Tak", a Masson włożył ręce do kieszeni. Rozgrzany piasek wydał mi się teraz czerwony. Szliśmy równym krokiem w stronę Arabów. Dystans między nami stopniowo się zmniejszał. Kiedy dzieliło nas kilka kroków, Arabowie przystanęli. Masson i ja zwolniliśmy kroku. Raymond szedł prosto na swojego Araba. Nie usłyszałem, co mu powiedział, a ten zamierzył się, by uderzyć go głową. Wtedy Raymond zadał pierwszy cios i przywołał Massona. Masson podszedł do tego drugiego i uderzył go dwukrotnie, z całej siły. Arab padł na płask w wodę, twarzą do dna, i pozostał tak kilka chwil, a spod głowy wydostawały się bąbelki i rozrywały na powierzchni. Równocześnie Raymond też zadał cios i twarz tamtego pokryła się krwią. Raymond odwrócił się do mnie i powiedział: „Zobaczysz, jak go załatwię". Krzyknąłem: „Uważaj, ma nóż!". Ale Raymond miał już rozcięte ramię i poharatane usta.

Masson skoczył naprzód. Jednak drugi Arab zdążył się podnieść i stanąć za plecami tego z nożem. Nie śmieliśmy się ruszyć. Cofali się powoli, nie przestając na nas patrzeć i szachować nas bronią. Kiedy zobaczyli, że odeszli na bezpieczną odległość, rzucili się do ucieczki, a my staliśmy na słońcu jak wryci i Raymond ściskał ramię ociekające krwią.

Masson od razu powiedział, że tam wyżej jest lekarz, który spędza tu niedziele. Raymond chciał natychmiast do niego iść. Ale gdy tylko się odzywał, krew z rany tworzyła pęcherzyki w kącikach ust. Podtrzymując go, wróciliśmy do domku najszybciej, jak można. Na miejscu Raymond powiedział, że jego rany są powierzchowne i da radę dojść do lekarza. Wyszli z Massonem, a ja zostałem, żeby wyjaśnić kobietom, co zaszło. Pani Masson płakała, a Marie mocno zbladła. Przykro było im tłumaczyć. W końcu zamilkłem i paliłem papierosa, wpatrując się w morze.

Około wpół do drugiej Raymond z Massonem wrócili. Raymond miał zabandażowane ramię i plaster przy ustach. Lekarz powiedział,

że nic mu nie jest, ale Raymond wyglądał ponuro. Masson starał się go rozweselić. Jednak Raymond nadal się nie odzywał. Kiedy powiedział, że zejdzie na plażę, spytałem, dokąd chce iść. Powiedzieliśmy z Massonem, że pójdziemy z nim. Wówczas rozzłościł się i nas zwymyślał. Masson orzekł, że nie należy mu się sprzeciwiać. Ja jednak ruszyłem za nim.

Długo szliśmy plażą. Słońce zwalało teraz z nóg. Rozpryskiwało się na kawałki w piasku i morzu. Miałem wrażenie, że Raymond dobrze wie, dokąd zmierza, lecz zapewne się myliłem. Wreszcie na samym końcu plaży dotarliśmy do źródełka sączącego się na piasek zza potężnej skały. I tam wpadliśmy na obu Arabów. Leżeli w swych zatłuszczonych kombinezonach. Sprawiali wrażenie w pełni spokojnych i niemal zadowolonych. Nasze nadejście niczego nie zmieniło. Ten, który dźgnął Raymonda, spoglądał na niego bez słowa. Drugi dmuchał w drobną trzcinę i bez przerwy wygrywał na swoim instrumencie, patrząc na nas kątem oka, te same trzy nuty.

Przez cały ten czas istniały już tylko słońce i cisza, szmer źródełka i trzy nuty. Wtedy Raymond sięgnął do tylnej kieszeni po rewolwer, lecz tamten ani drgnął i wciąż patrzyli na siebie. Zauważyłem, że ten, który grał na flecie, ma mocno rozczapierzone palce stóp. Ale Raymond, nie spuszczając oczu z przeciwnika, zapytał: „Załatwić go?”. Pomyślałem, że jeślibym zaprzeczył, wpadłby w szał i zapewne strzelił. Powiedziałem tylko: „Jeszcze się do ciebie nie odezwał. Niedobrze byłoby tak od razu strzelać”. Słyszeliśmy wciąż szmer wody i dźwięk fletu w sercu ciszy i żaru. Po chwili Raymond powiedział: „W takim razie zwymyślam go i jeśli odpowie, zabiję”. Odpowiedziałem: „Dobrze. Ale jeśli nie wyciągnie noża, ty nie strzelisz”. Raymond był coraz wyraźniej podniecony. Ten drugi wciąż grał i obaj śledzili każdy gest Raymonda. „Nie – powiedziałem do Raymonda. – Bierz go jeden na jednego i oddaj mi rewolwer. Jeśli drugi się wtrąci albo jeśli twój wyciągnie nóż, załatwię go”.

Kiedy Raymond podawał mi rewolwer, prześlizgnęło się po nim słońce. Jednak nikt się nie ruszał, jakby wszystko wokół nas się spięło. Wpatrywaliśmy się w siebie, nie spuszczając wzroku, i wszystko zastygło między morzem, piaskiem i słońcem w zdwojonym milczeniu fletu i wody. W tym momencie pomyślałem,

że można było strzelić lub nie strzelić. Ale Arabowie nagle wycofali się i wślizgnęli za skałę. Wówczas Raymond i ja zawróciliśmy. Raymond wyglądał teraz lepiej i już opowiadał o powrocie autobusem.

Odprowadziłem go do domku Massona i kiedy wspinał się po drewnianych schodach, stałem przed pierwszym stopniem, z głową pulsującą od słońca, zniechęcony wysiłkiem, jaki należało podjąć, aby wejść na piętro i znowu spotkać się z kobietami. Ale żar był taki, że trudno było też tkwić tak bez ruchu pod oślepiającym deszczem padającym z nieba. Stać w miejscu czy chodzić, na jedno wychodziło. Po chwili zawróciłem na plażę i poszedłem przed siebie.

Wciąż ta sama czerwona eksplozja. Morze dyszało szybkim, zduszonym oddechem drobnych fal rzucanych na piasek. Szedłem powoli w stronę skał i czułem, jak moje czoło pęcznieje w słońcu. Żar w całej swej okazałości zwalał się na mnie i powstrzymywał moje kroki. Za każdym razem, gdy czułem na twarzy jego ogromny, gorący wiew, zaciskałem zęby, kuliłem pięści w kieszeniach spodni, naprężałem się cały, aby pokonać słońce i mroczne upojenie, w którym mnie nurzało. Za każdym sztychem światła wystrzelonym z piasku, ze zbielałej muszli lub z odłamka szkła moje szczęki się kurczyły. Szedłem tak długo.

Widziałem w oddali niewielki, ciemny masyw skały w oślepiającej aurze światła i morskiego pyłu. Pomyślałem o chłodnym źródełku za skałą. Chciałem wysłuchać szmeru jego wody, chciałem uciec od słońca, od starań i płaczu kobiet, chciałem odnaleźć wreszcie cień, a w nim wytchnienie. Ale kiedy się zbliżyłem, zobaczyłem, że facet od Raymonda wrócił.

Był sam. Leżał na wznak, z rękami pod karkiem, czoło chował w cieniu skały, a ciało leżało na słońcu. Jego kombinezon dymił w ukropie. Byłem nieco zaskoczony. Dla mnie historia się skończyła i przyszedłem tutaj, już o niej nie myśląc.

Kiedy tylko mnie ujrzał, uniósł się lekko i włożył rękę do kieszeni. Odruchowo zacisnąłem dłoń na rewolwerze Raymonda w kieszeni bluzy. Znowu osunął się na plecy, lecz nie wyjął ręki z kieszeni. Byłem od niego dość daleko, o jakieś dziesięć metrów. Chwilami domyślałem się jego spojrzenia rzucanego spod przymkniętych

powiek. Ale częściej jego obraz tańczył mi przed oczami w płonącym powietrzu. Szum fal wyciszał się, był jeszcze leniwszy niż w południe. To samo słońce, to samo światło, na tym samym piasku, wciąż tutaj. Już od dwóch godzin dzień nie posuwał się do przodu, już dwie godziny tkwił w oceanie wrzącego metalu. Na horyzoncie pojawił się niewielki stateczek parowy i jego czarna plamka mignęła mi na samym skraju spojrzenia, ponieważ nie przestawałem wpatrywać się w Araba.

Pomyślałem, że wystarczy się odwrócić, a wszystko się skończy. Lecz z tyłu napierała tętniąca słońcem plaża. Zrobiłem kilka kroków w stronę źródełka. Arab się nie poruszył. Był mimo wszystko dosyć daleko. Odniosłem wrażenie, być może z powodu cieni na jego twarzy, że się śmieje. Czekałem. Słońce coraz bardziej rozpalało mi policzki i czułem, jak na brwiach zbierają się krople potu. Było to słońce z dnia, w którym pogrzebałem matkę, i podobnie jak wtedy najbardziej bolało mnie czoło i wszystkie żyły tętniły mi naraz pod skórą. Z powodu tego pożaru, którego już nie mogłem znieść, ruszyłem. Wiedziałem, że to głupie, że nie pozbędę się słońca, robiąc krok do przodu. A jednak zrobiłem ten krok, tylko jeden krok. Tym razem, nie unosząc się, Arab wyciągnął nóż i potrząsnął nim w słońcu. Światło trysnęło na stal i mojego czoła dotknęło jakby długie, błyszczące ostrze. W tej samej chwili pot stłoczony w moich brwiach spłynął mi nagle na powieki i pokrył je ciepłym, gęstym woalem. Za zasłoną z łez i soli oczy oślepły. Czułem już tylko bębny słońca na moim czole i wraz z nimi płomienny miecz tryskający z noża tuż przede mną. Palące ostrze nękało mi rzęsy i grzebało w moich obolałych oczach. I wówczas wszystko runęło. Morze przytargało żarliwy i gęsty podmuch. Wydało mi się, że niebo otwiera się na oścież, by lunąć na mnie ogniem. Całym sobą naprężyłem się i zacisnąłem dłoń na rewolwerze. Spust ustąpił, dotknąłem gładkiego brzucha kolby i wówczas, w dźwięku suchym i zarazem ogłuszającym, wszystko się zaczęło. Strząsnąłem pot i słońce. Pojąłem, że zburzyłem równowagę dnia, niezwykłą ciszę plaży, na której byłem szczęśliwy. Wtedy wystrzeliłem jeszcze cztery razy w bezwładne ciało i kule wbiły się niepostrzeżenie. I tymi czterema wystrzałami jakbym zapukał do bram nieszczęścia.

Część druga

I

Natychmiast po aresztowaniu przesłuchano mnie parokrotnie. Ale chodziło tylko o ustalenie mojej tożsamości i przesłuchania nie trwały długo. Na komisariacie moja sprawa za pierwszym razem zdawała się nikogo nie obchodzić. Ale tydzień później sędzia śledczy, wprost przeciwnie, spojrzał na mnie z zaciekawieniem. Jednak na początku spytał mnie tylko o nazwisko i adres, zawód, datę i miejsce urodzenia. Następnie chciał się dowiedzieć, czy wybrałem już obrońcę. Wyznałem, że nie, i zapytałem, czy jest bezwzględnie konieczne mieć jakiegoś. „Dlaczego nie?" – powiedział. Odparłem, że uważam swoją sprawę za całkiem prostą. Powiedział z uśmiechem: „To pańskie zdanie. Zresztą prawo ma swoje wymogi. Jeśli nie wskaże pan obrońcy, przydzielimy kogoś z urzędu". Uznałem za wielką wygodę fakt, że wymiar sprawiedliwości bierze takie drobiazgi na siebie. Powiedziałem mu to. Zgodził się ze mną i orzekł, że prawo zostało dobrze pomyślane.

Z początku nie wziąłem go poważnie. Przyjął mnie w pokoju z zaciągniętymi zasłonami, na biurku miał tylko lampę oświetlającą fotel, w którym mnie posadził, a sam pozostał w cieniu. Czytałem już kiedyś podobny opis w książkach i wszystko to wydało mi się zabawą. Ale nie po naszej rozmowie; przyjrzałem mu się i zobaczyłem mężczyznę słusznego wzrostu o delikatnych rysach, niebieskich, głęboko osadzonych oczach, z długimi, siwymi wąsami i obfitą, niemal białą czupryną. Wydał mi się bardzo rozumny i w gruncie rzeczy sympatyczny, mimo nerwowych tików wykrzywiających mu usta. Wychodząc, chciałem mu nawet podać rękę, lecz w porę przypomniałem sobie, że zabiłem człowieka.

Nazajutrz odwiedził mnie w więzieniu adwokat. Był niski i krępy, dosyć młody, ze starannie przylizanymi włosami. Mimo upału (miałem krótkie rękawy) włożył ciemny garnitur, koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i miał dziwny krawat w szerokie biało-czarne paski. Położył na mojej pryczy teczkę, którą trzymał pod

pachą, przedstawił się i powiedział, że przestudiował akta. Moja sprawa jest niełatwa, lecz nie wątpi w powodzenie, jeśli mu zaufam. Podziękowałem mu i powiedział: „Przejdźmy od razu do sedna".

Usiadł na pryczy i wyjaśnił, że zebrano informacje o moim życiu osobistym. Wiedziano, że moja matka zmarła niedawno w przytułku. Przeprowadzono w związku z tym wywiad w Marengo. Inspektorzy dowiedzieli się, że w dniu pogrzebu matki „wykazałem się nieczułością". „Pan rozumie – powiedział adwokat – krępuje mnie o to pana pytać. Ale to niezwykle ważne. I dla oskarżenia byłoby mocnym argumentem, gdybym nie znalazł odpowiedzi". Chciał, żebym mu pomógł. Spytał, czy tamtego dnia cierpiałem. Pytanie bardzo mnie zdziwiło i wydało mi się, że sam czułbym się zażenowany, gdybym musiał je komuś postawić. Jednak odpowiedziałem, że odwykłem od stawiania sobie pytań i że trudno mi cokolwiek wyjaśnić. Bez wątpienia kochałem matkę, lecz to nic nie znaczy. Wszystkim zdrowym ludziom zdarza się, że życzą śmierci tym, których kochają. W tym momencie adwokat przerwał mi i wydał się bardzo poruszony. Kazał mi obiecać, że nie powiem tego publicznie podczas procesu ani w śledztwie. Odpowiedziałem mu jednak, że u mnie reakcje fizyczne często mącą uczucia, taką już mam naturę. W dniu, w którym grzebałem matkę, byłem bardzo zmęczony i chciało mi się spać. Toteż nie całkiem pojmowałem, co się dzieje. Z pewnością mogę stwierdzić to jedno, że wolałbym, by matka nie umarła. Ale adwokat nie miał zadowolonej miny. Powiedział: „To nie wystarczy".

Zastanowił się. Spytał, czy będzie mógł powiedzieć, że tamtego dnia zapanowałem nad moimi naturalnymi odczuciami. Powiedziałem mu: „Nie, bo to nieprawda". Spojrzał na mnie dziwnie, jakbym budził w nim lekki wstręt. Powiedział niemal ze złością, że w każdym razie dyrektor i personel przytułku zostaną powołani na świadków „i to mnie załatwi". Zwróciłem mu uwagę, że ta historia nie ma związku z moją sprawą, on zaś odparł, że widocznie nie miałem nigdy do czynienia z wymiarem sprawiedliwości.

Wyszedł z obrażoną miną. Chętnie bym go zatrzymał, aby mu wyjaśnić, że pragnąłem jego sympatii, nie po to, aby mnie lepiej bronił, lecz, by tak rzec, naturalnie. Dobrze widziałem, że czuł się

przy mnie nieswój. Nie rozumiał mnie i miał mi to za złe. Pragnąłem go zapewnić, że jestem jak wszyscy, zupełnie jak wszyscy. Lecz w gruncie rzeczy nie służyłoby to niczemu i z lenistwa dałem spokój.

Niedługo potem zaprowadzono mnie ponownie do sędziego śledczego. Była druga po południu i tym razem jego gabinet zalewało światło ledwie filtrowane przez firankę. Było bardzo gorąco. Poprosił, bym usiadł, i nadzwyczaj uprzejmie oznajmił, że mojemu obrońcy „wypadło coś nieprzewidzianego" i nie mógł przyjść. Mam zatem prawo nie odpowiadać na jego pytania teraz, lecz dopiero w obecności obrońcy. Odparłem, że mogę odpowiadać sam jeden. Nacisnął guzik na biurku. Wszedł młody protokolant i usadowił się tuż za moimi plecami.

Usiedliśmy obaj w fotelach. Przesłuchanie się rozpoczęło. Powiedział mi najpierw, że opisywano mnie jako człowieka małomównego i zamkniętego w sobie, i był ciekaw, co ja o tym sądzę. Odpowiedziałem: „To dlatego, że nie mam wiele do powiedzenia. Więc milczę". Uśmiechnął się tak jak za pierwszym razem, przyznał, że to najlepszy z możliwych argumentów. I dodał: „Zresztą to nie ma żadnego znaczenia". Umilkł, spojrzał na mnie i gwałtownie uniósł głowę, mówiąc pośpiesznie: „To pan mnie interesuje". Nie bardzo zrozumiałem, co chciał przez to powiedzieć, i nic nie odrzekłem. „W pańskim postępowaniu – dodał – są rzeczy, które nie całkiem pojmuję. Jestem pewien, że pan pomoże mi je zrozumieć". Powiedziałem, że wszystko jest bardzo proste. Naglił, bym opisał mu tamten dzień. Raz jeszcze streściłem to, co już mu opowiedziałem: Raymond, plaża, kąpiel, bijatyka, znowu plaża, źródełko, słońce i pięć wystrzałów z rewolweru. Po każdym zdaniu mówił: „Tak, tak". Kiedy doszedłem do leżącego ciała, przytaknął: „Dobrze". Nużyło mnie powtarzanie w kółko tej samej historii i wydawało mi się, że nigdy tyle nie mówiłem.

Po chwili milczenia wstał i powiedział, że chce mi pomóc, że interesuję go i z bożą pomocą postara się coś dla mnie zrobić. Ale wcześniej zada mi jeszcze kilka pytań. I spytał od razu, czy kochałem matkę. Powiedziałem: „Tak, jak wszyscy", i protokolant, który dotąd stukał miarowo na maszynie, chyba pomylił klawisz, bo zawahał się i musiał się cofnąć. Wciąż bez jasnego logicznego związku sędzia

śledczy spytał wówczas, czy oddałem pięć strzałów jeden za drugim. Namyśliłem się i wyjaśniłem, że strzeliłem najpierw jeden raz, a pozostałe cztery razy po kilku sekundach. „Dlaczego odczekał pan po pierwszym wystrzale?" – rzekł wówczas. Ujrzałem ponownie czerwoną plażę i poczułem na czole pożar słońca. Ale tym razem nic nie odpowiedziałem. Nastąpiła cisza, w czasie której śledczy wyglądał na wyraźnie poruszonego. Usiadł, zaczął gmerać we włosach, położył łokcie na biurku i pochylił się lekko w moją stronę z dziwnym wyrazem twarzy: „Dlaczego, dlaczego strzelał pan do leżącego ciała?". I tym razem nie umiałem odpowiedzieć. Śledczy przesunął dłońmi po czole i powtórzył pytanie nieco zmienionym głosem: „Dlaczego? Musi mi pan powiedzieć. Dlaczego?". Nadal milczałem.

Nagle wstał, podszedł wielkim krokiem do krawędzi biurka i z segregatora wysunął szufladkę. Wyjął z niej srebrny krucyfiks i odwróciwszy się, zaczął nim wymachiwać w moją stronę. Zmienionym, drżącym głosem wykrzyknął: „A Jego pan zna?". Powiedziałem: „Znam, naturalnie". Wówczas szybko i z pasją powiedział, że wierzy w Boga, że wedle niego żaden człowiek nie jest na tyle winien, by Bóg mu nie przebaczył, lecz w tym celu człowiek w swojej skrusze musi być jak dziecko, którego dusza jest pusta i gotowa, by wszystko w siebie przyjąć. Całym ciałem przechylał się przez stół. Potrząsał krucyfiksem niemal nade mną. Prawdę mówiąc, nie całkiem wsłuchiwałem się w jego wywód, przede wszystkim z powodu gorąca i much w jego gabinecie, siadających mi na nosie, ale też dlatego, że wzbudzał we mnie jakiś lęk. Wiedziałem równocześnie, że to śmieszne, w końcu to ja byłem złoczyńcą. A on mówił dalej. Zrozumiałem mniej więcej, że jego zdaniem w moich zeznaniach był tylko jeden niejasny punkt, to mianowicie, że odczekałem chwilę, nim po raz kolejny wystrzeliłem z rewolweru. Co do reszty, w porządku, ale tego pojąć nie umie.

Miałem mu powiedzieć, że niepotrzebnie się upiera: ten ostatni punkt nie ma żadnego znaczenia. Ale przerwał mi i, wyprężając się jak struna, raz jeszcze naparł na mnie, pytając, czy wierzę w Boga. Odparłem, że nie. Usiadł oburzony. Powiedział mi, że to niemożliwe, że wszyscy ludzie wierzą w Boga, nawet ci, którzy odwrócili się od

jego oblicza. Był o tym przekonany i gdyby miał w to zwątpić, jego życie utraciłoby sens. „Czy pan chce – zawołał – żeby moje życie straciło sens?” Moim zdaniem to nie była moja sprawa i powiedziałem mu to. Ale on już przez stół podtykał mi pod oczy Chrystusa i wykrzykiwał, jakby postradał rozum: „Jestem chrześcijaninem. Proszę Go, by wybaczył ci winę. Jak możesz nie wierzyć, że cierpiał za ciebie?”. Zauważyłem od razu, że przeszedł na ty, lecz miałem już dosyć. Skwar narastał. Jak zawsze kiedy pragnąłem pozbyć się kogoś, kogo ledwie słucham, udałem, że przytakuję. Ku memu zdziwieniu przybrał tryumfalny ton: „No widzisz, widzisz – powiedział. – Prawda, że wierzysz i zdasz się na Niego?”. Oczywiście kolejny raz zaprzeczyłem. Opadł na fotel.

Wyglądał na bardzo zmęczonego. Przez chwilę milczał, podczas gdy maszyna do pisania, która cały czas próbowała nadążyć za rozmową, wystukiwała jeszcze ostatnie kwestie. Następnie spojrzał na mnie uważnie, z niejakim smutkiem. Wyszeptał: „Nigdy nie spotkałem się z duszą równie hardą jak pańska. Złoczyńcy, którzy stawali przede mną, zawsze łkali na widok tego obrazu cierpienia”. Chciałem odpowiedzieć, że właśnie dlatego, iż byli złoczyńcami. Ale pomyślałem, że sam jestem jak oni. Nie mogłem się z tą myślą pogodzić. W tym momencie śledczy wstał, jakby chciał pokazać, że przesłuchanie dobiegło końca. Spytał mnie tylko z tą samą znużoną miną, czy żałuję swego czynu. Po namyśle powiedziałem, że bardziej niż żal odczuwam pewne zakłopotanie. Odniosłem wrażenie, że mnie nie zrozumiał. Tego dnia rzeczy dalej już nie zaszły.

Później z sędzią śledczym spotykałem się wielokrotnie. Tyle że za każdym razem towarzyszył mi adwokat. Miałem jedynie uściślić niektóre punkty wcześniejszych zeznań. Albo też śledczy dyskutował z adwokatem o dowodach obciążających. Lecz tak naprawdę w tamtych chwilach w ogóle się mną nie zajmowali. A w każdym razie ton przesłuchań powoli się zmienił. Odnosiłem wrażenie, że śledczy już się mną nie interesuje i że niejako skończył ze mną. Nigdy mi już nie wspominał o Bogu i nigdy nie był równie wzburzony jak pierwszego dnia. W rezultacie nasze rozmowy stały się serdeczniejsze. Kilka pytań, krótka konwersacja z adwokatem i było po przesłuchaniu. Moja sprawa szła swoim tokiem, jak to

określił śledczy. Czasem, kiedy rozmowa dotyczyła ogólniejszych tematów, włączano mnie do niej. Zaczynałem oddychać. Nikt w tamtym czasie źle wobec mnie się nie zachowywał. Wszystko było tak naturalne, tak uporządkowane i tak oszczędnie odegrane, że miałem śmieszne poczucie, że „jest jak w rodzinie". I mogę powiedzieć, że po jedenastu miesiącach śledztwa niemal dziwiłem się sobie, że kiedykolwiek wcześniej cieszyło mnie coś bardziej niż owe rzadkie chwile, kiedy śledczy odprowadzał mnie do drzwi gabinetu, klepiąc po ramieniu i mówiąc serdecznym tonem: „Na dzisiaj to tyle, panie Antychryście". I oddawał mnie w ręce strażników.

II

Są rzeczy, o których nigdy nie lubiłem mówić. Kiedy znalazłem się w więzieniu, po kilku dniach zrozumiałem, że nie będę lubił mówić o tej części życia.

Później ten wstręt przestał mieć dla mnie znaczenie. W pierwszych dniach właściwie nie byłem w więzieniu: czekałem niejako, aż coś się zdarzy. Dopiero po pierwszych i jedynych odwiedzinach Marie wszystko się zaczęło. Od dnia, w którym otrzymałem od niej list (pisała, że nie pozwalają jej już przychodzić, bo nie jest moją żoną), od tego dnia właśnie poczułem, że jestem w celi u siebie i że moje życie tu się zatrzymało. W dniu aresztowania zamknięto mnie najpierw w pomieszczeniu pełnym zatrzymanych, w większości Arabów. Roześmiali się na mój widok. Następnie zapytali, co takiego zrobiłem. Powiedziałem, że zabiłem Araba, i umilkli. Ale w chwilę później zapadł wieczór. Wyjaśnili mi, w jaki sposób przygotować matę, na której miałem się położyć. Zwijając jeden jej koniec, można było zrobić poduszeczkę. Przez całą noc po mojej twarzy biegały pluskwy. Kilka dni później trafiłem do oddzielnej celi, gdzie spałem na drewnianej pryczy. Miałem do dyspozycji wiadro na nieczystości i żelazną miednicę. Więzienie leżało w najwyższej części miasta i przez okienko mogłem dostrzec morze. Pewnego dnia, gdy stałem uczepiony kraty, zwracając twarz ku słońcu, wszedł strażnik i powiedział, że mam wizytę. Pomyślałem, że to Marie. Fakt, to była ona.

Do rozmównicy prowadził długi korytarz, następnie schody i kolejny korytarz. Wszedłem do ogromnej sali, do której przez wielką szybę wpadało mocne światło. Dwie wielkie kraty ustawione wzdłuż dzieliły salę na trzy części. Między kratami rozciągała się ośmio- czy dziesięciometrowa przestrzeń odgradzająca odwiedzających od więźniów. Dostrzegłem na wprost siebie Marie w tej jej pasiastej sukience i z opaloną twarzą. Po mojej stronie stało około dziesięciu więźniów, w większości Arabów. Marie otaczały

Mauretanki; tkwiła między dwiema odwiedzającymi: małą staruszką o zaciśniętych ustach, ubraną na czarno, i tęgą kobietą z odkrytą głową, która hałaśliwie rozprawiała, żywo gestykulując. Z powodu odległości między kratami odwiedzający i więźniowie zmuszeni byli prawie krzyczeć. Kiedy tylko wszedłem, od zgiełku głosów odbijających się od gołych, wysokich ścian sali, ostrego światła spływającego z nieba po szybach i rozbłyskującego wewnątrz poczułem coś jak zawrót głowy. Moja cela była spokojniejsza i cicha. Potrzebowałem kilku sekund, aby się oswoić. W końcu jednak udało mi się ujrzeć wyraźnie w pełnym świetle każdą twarz. Zauważyłem, że na końcu korytarza między dwiema kratami siedział strażnik. Więźniowie arabscy i ich rodziny przykucnęli naprzeciw siebie. Ci nie krzyczeli. Mimo tumultu mogli się słyszeć, mówiąc całkiem cicho. Ich głuchy szept, dobywający się z dołu, tworzył jakby basowy podkład dla rozmów, które krzyżowały się ponad ich głowami. Wszystko to dotarło do mnie bardzo szybko, kiedy szedłem w stronę Marie. Stała już przyklejona do krat i uśmiechała się ze wszystkich sił. Wydała mi się bardzo piękna, lecz nie umiałem jej tego powiedzieć.

„No i jak?" – powiedziała bardzo głośno. „Ano tak". „Wszystko w porządku, niczego ci nie potrzeba?" „Nie, niczego".

Umilkliśmy i Marie ciągle się uśmiechała. Tęga kobieta wrzeszczała coś w stronę mojego sąsiada, zapewne męża, rosłego blondyna o szczerym spojrzeniu. Ciągnęli zaczętą wcześniej rozmowę.

„Jeanne nie chciała go wziąć" – darła się wniebogłosy. „Tak, tak" – mówił mężczyzna. „Powiedziałam jej, że go odbierzesz, kiedy stąd wyjdziesz, ale nie chciała wziąć".

Marie wykrzyknęła zza kraty, że Raymond mnie pozdrawia, i powiedziałem: „Dziękuję". Ale zagłuszył mnie sąsiad, który pytał: „Czy on ma się dobrze". Jego żona wybuchnęła śmiechem i odparła, że „lepiej nigdy się nie czuł". Sąsiad z lewej, niski młodzieniec o delikatnych dłoniach, nie mówił nic. Zauważyłem, że stoi na wprost małej staruszki i oboje wpatrują się w siebie. Nie miałem jednak czasu na dalszą obserwację, gdyż Marie krzyknęła, że trzeba mieć nadzieję. Powiedziałem: „Tak". Równocześnie patrzyłem na nią

i miałem ochotę przytulić przez sukienkę jej ramię. Pragnąłem tej delikatnej tkaniny i nie bardzo wiedziałem, czego więcej można by jeszcze oczekiwać. Marie chciała z pewnością coś takiego właśnie powiedzieć, bo wciąż się uśmiechała. Widziałem już tylko blask jej zębów i fałdki pod oczami. Znowu wykrzyknęła: „Wyjdziesz stąd i się pobierzemy!". Odrzekłem: „Tak myślisz?", ale tylko po to, by powiedzieć cokolwiek. Wówczas powiedziała bardzo szybko i wciąż bardzo głośno, że tak, zostanę uniewinniony i będziemy jeszcze razem pływali. Ale kobieta obok wrzeszczała, że zostawiła koszyk w kancelarii sądu. Wyliczała wszystko, co do niego włożyła. Trzeba będzie sprawdzić, bo wszystko kosztowało. Drugi sąsiad i jego matka wciąż się w siebie wpatrywali. Szept Arabów przy podłodze nie ustawał. Światło przychodzące z zewnątrz zdawało się pęcznieć na szybie.

Czułem się nieco chory i chętnie bym już poszedł. Wszystko mnie bolało od hałasu. Ale z drugiej strony chciałem jeszcze skorzystać z obecności Marie. Nie wiem, ile czasu minęło. Marie opowiadała o swojej pracy i uśmiechała się bez ustanku. Szepty, krzyki, rozmowy krzyżowały się w powietrzu. Jedyną wyspę ciszy tworzyli ów niski młodzieniec obok mnie i staruszka, wpatrzeni w siebie. Zaczęto powoli wyprowadzać Arabów. Kiedy tylko pierwszy wyszedł, niemal wszyscy zamilkli. Staruszka podeszła do krat i w tejże chwili strażnik dał znak jej synowi. Powiedział: „Do widzenia, mamo", a ona włożyła rękę między pręty i wykonała powolny, przeciągły gest pożegnania.

Odeszła, a na jej miejscu pojawił się mężczyzna z kapeluszem w dłoni. Wprowadzono więźnia i obaj zaczęli rozmawiać z ożywieniem, lecz półgłosem, gdyż w sali na nowo zapadła cisza. Przyszli po sąsiada z lewej i jego żona powiedziała, nie zniżając głosu, jakby nie zauważyła, że nie trzeba już krzyczeć: „Dbaj o siebie i uważaj". Następny w kolejności byłem ja. Marie pokazała, że mnie całuje. Odwróciłem się przed wyjściem z sali. Stała nieruchomo, przyciskając twarz do kraty, z tym samym szerokim i sztywnym uśmiechem.

Niedługo potem napisała do mnie. I począwszy od tej chwili zaczęło się dziać to, o czym nigdy nie lubiłem opowiadać. Choć nie chcę przesadzać, radziłem sobie lepiej niż inni. W początkach

mojego uwięzienia najtrudniejsze jednak było to, że miałem myśli wolnego człowieka. Na przykład przychodziła mi ochota, żeby być na plaży i schodzić ku morzu. Wyobrażając sobie odgłos pierwszych fal pod łukiem moich stóp, ciało zanurzone w wodzie i swobodę, czułem natychmiast, jak ciasne są mury mojego więzienia. To jednak trwało kilka miesięcy. Później miałem już tylko myśli więźnia. Wyczekiwałem porannego spaceru na dziedzińcu albo odwiedzin adwokata. Dobrze sobie radziłem z pozostałym czasem. Często zdarzało mi się myśleć, że gdyby kazano mi żyć wewnątrz martwego drzewa i zajmować się jedynie gapieniem w kwiat nieba nad głową, powoli bym się przyzwyczaił. Czekałbym na przeloty ptaków albo na spotkania chmur, tak jak tutaj czekałem na dziwaczne krawaty adwokata albo, w innym świecie, wyczekiwałem sobót, żeby objąć ciało Marie. Ale, jeśli dobrze się zastanowić, nie siedziałem przecież w martwym drzewie. Byli bardziej nieszczęśliwi ode mnie. Podobnie myślała zresztą mama, często powtarzała, że w końcu człowiek do wszystkiego przywyknie.

Tak daleko zazwyczaj się nie posuwałem. Przez pierwsze miesiące było ciężko. Lecz właśnie wysiłek, na który musiałem się zdobyć, pomógł mi je przeżyć. Na przykład dręczyło mnie pożądanie kobiety. To naturalne, byłem młody. Nigdy nie myślałem akurat o Marie. Ale myślałem tak bardzo o kobiecie, o kobietach, o wszystkich, jakie poznałem, o wszystkich okolicznościach, w których się z nimi kochałem, że moja cela wypełniała się ich twarzami i zapychała moimi pragnieniami. Wytrącało mnie to z równowagi. Zarazem pozwalało zabić czas. Udało mi się zyskać sympatię głównego strażnika, który w godzinach posiłków towarzyszył chłopakowi z kuchni. To on pierwszy napomknął o kobietach. Powiedział, że to pierwsza rzecz, na której brak uskarżają się więźniowie. Powiedziałem mu, że jestem jak oni i że takie traktowanie uważam za niesprawiedliwe. „No przecież – powiedział – właśnie dlatego wsadza się ludzi do więzienia”. „Jakże to, dlatego?” „Ależ tak, na tym polega wolność. Pozbawia się was wolności”. Nigdy o tym nie pomyślałem. Zgodziłem się z nim. „To prawda – powiedziałem – bo na czym innym miałaby polegać kara?” „Tak, pan umie to pojąć. Inni nie bardzo. Ale i tak w końcu sami sobie ulżą”. I wyszedł.

Była też kwestia papierosów. Kiedy trafiłem do więzienia, odebrano mi pasek, sznurowadła, krawat i wszystko, co miałem w kieszeniach, przede wszystkim papierosy. Będąc już w celi, poprosiłem o ich zwrot. Ale powiedziano mi, że to zabronione. Pierwsze dni były bardzo trudne. To chyba najbardziej mnie przybiło. Ssałem kawałki drewna, które odrywałem z deski mojej pryczy. Przez cały dzień dopadały mnie nieustające mdłości. Nie pojmowałem, dlaczego pozbawia się mnie czegoś, co nikomu nie szkodzi. Później zrozumiałem, że i to jest częścią kary. Ale wtedy już przywykłem do niepalenia i ta kara mnie nie wzruszała.

Nie licząc takich przykrości, nie byłem nadto nieszczęśliwy. Problem leżał w tym, jak zabić czas. Nudzić się przestałem wreszcie od chwili, gdy nauczyłem się wspominać. Od czasu do czasu zaczynałem myśleć o moim pokoju i w wyobraźni wyruszałem z jednego kąta i powracałem do niego, wyliczając w głowie wszystko, co napotkałem po drodze. Na początku szybko było po wszystkim. Ale za każdym razem, gdy zaczynałem na nowo, trwało to coraz dłużej. Bo przypominałem sobie każdy mebel, a na meblu każdy przedmiot, który się tam znajdował, a z każdego przedmiotu tysiące szczegółów, a wśród szczegółów inkrustację, pęknięcie czy wyszczerbiony brzeg, zabarwienie i fakturę. Jednocześnie starałem się nie zagubić w moim inwentarzu, dokonać pełnego wyliczenia. Tak że po kilku tygodniach mogłem spędzać długie godziny wyłącznie na wyszczególnianiu tego, co mieściło się w pokoju. A im bardziej się skupiałem, tym więcej wyciągałem z pamięci pominiętych i zapomnianych rzeczy. Zrozumiałem wówczas, że człowiek, który przeżył choćby jeden dzień, mógłby bez trudu przeżyć w więzieniu sto lat. Miałby dość wspomnień, aby się nie nudzić. W pewnym sensie była to jakaś korzyść.

I była jeszcze kwestia snu. Na początku w nocy sypiałem źle, a w ciągu dnia w ogóle. Z czasem nocami było lepiej i zasypiałem również w dzień. Mogę wręcz powiedzieć, że przez ostatnie miesiące spałem od szesnastu do osiemnastu godzin na dobę. Pozostawało mi więc sześć godzin do zabicia posiłkami, naturalnymi potrzebami, wspomnieniami i historią Czecha.

Między siennikiem a deską znalazłem wycinek z gazety, niemal przyklejony do obicia, pożółkły i prześwitujący. Opowiadał o jakimś zdarzeniu, lecz brakowało samego początku, musiało się to dziać w Czechosłowacji. Z czeskiego miasteczka wyruszył zbić fortunę mężczyzna. Po ćwierćwieczu wrócił jako bogacz, z żoną i dzieckiem. Jego matka z siostrą prowadziły hotelik w rodzinnym miasteczku. Chcąc zrobić im niespodziankę, zostawił żonę z dzieckiem w gospodzie i poszedł do matki, która, gdy wszedł, nie rozpoznała go. Dla żartu wpadł na pomysł, by wziąć pokój. Pokazał, że ma pieniądze. W nocy matka z siostrą zamordowały go młotkiem, żeby go okraść, a ciało wrzuciły do rzeki. Rano przyszła żona i nieopatrznie wyjawiła, kim był podróżny. Matka się powiesiła. Siostra rzuciła do studni. Przeczytałem tę historię chyba z tysiąc razy. Z jednej strony była nieprawdopodobna. Z drugiej naturalna. W każdym razie sądziłem, że podróżny w jakiejś mierze zasłużył na swoje, nigdy nie należy udawać.

I tak, na godzinach snu, wspomnieniach, lekturze kroniki kryminalnej, wpatrywaniu się w przepływ światła i cienia, czas mijał. Kiedyś wyczytałem, że w więzieniu traci się w końcu jego poczucie. Ale w moim przypadku to nie miało większego sensu. Nigdy wcześniej nie rozumiałem, do jakiego stopnia dni mogą być zarazem długie i krótkie. Długie były z pewnością, kiedy trzeba je było w całości przeżyć, lecz tak bardzo rozciągliwe, że zaczynały na siebie zachodzić. Traciły swoje nazwy. Jedynymi słowami, które zachowały dla mnie sens, były wczoraj i jutro.

Kiedy pewnego dnia strażnik powiedział mi, że jestem tu od pięciu miesięcy, uwierzyłem mu, lecz go nie zrozumiałem. Dla mnie przez celę przetaczał się wciąż ten sam dzień, a ja stałem przed wciąż tym samym zadaniem. Tego więc dnia po wyjściu strażnika przejrzałem się w żelaznej misce. Wydało mi się, że obraz był niezmiennie poważny, choć starałem się nawet do obrazu uśmiechnąć. Potrząsnąłem nim przed sobą. Uśmiechnąłem się, lecz on pozostał surowy i smutny. Dzień się kończył, to była godzina, o której nie chcę mówić, godzina bez imienia, kiedy odgłosy wieczoru unoszą się ze wszystkich pięter więzienia w cichnącym pochodzie. Podszedłem do okienka i w ostatniej plamie światła wpatrzyłem się raz jeszcze

w swój obraz. Był nadal poważny, cóż dziwnego, skoro i ja taki byłem? Lecz równocześnie usłyszałem wyraźnie i po raz pierwszy od wielu miesięcy dźwięk swojego głosu. Rozpoznałem go jako głos, który rozbrzmiewał już od wielu dni w moich uszach, i zrozumiałem, że przez cały ten czas mówiłem sam. Przypomniałem sobie wówczas, co powiedziała pielęgniarka na pogrzebie mamy. Nie, nie było żadnego wyjścia i nikt nie może sobie wyobrazić, czym są w więzieniach wieczory.

III

Mogę powiedzieć, że po lecie bardzo szybko przyszło lato. Wiedziałem, że wraz z nastaniem pierwszych upałów wydarzy się dla mnie coś nowego. Moją sprawę wyznaczono na ostatnią sesję sądu, a sesja miała się skończyć w czerwcu. Rozprawa zaczęła się zatem w buchającym na zewnątrz słońcu. Obrońca zapewnił mnie, że nie potrwa dłużej niż dwa, trzy dni. „Zresztą – dodał – sąd będzie się śpieszył, gdyż pańska sprawa nie należy do najważniejszych w tej sesji. Zaraz po niej mamy ojcobójstwo".

O wpół do ósmej rano przyszli po mnie i zawieźli więzienną karetką do gmachu sprawiedliwości. Dwóch żandarmów wprowadziło mnie do pokoiku, który pachniał cieniem. Czekaliśmy, siedząc przy samych drzwiach, zza których docierały głosy, nawoływania, hałas przesuwanych krzeseł, cały ten zgiełk przypominający mi o dzielnicowych festynach, kiedy to po koncercie szykuje się salę na tańce. Żandarmi powiedzieli, że trzeba poczekać na posiedzenie, i jeden z nich zaproponował mi papierosa, którego odmówiłem. Spytał mnie, „czy mam pietra". Odrzekłem, że nie. I że właściwie ciekawi mnie, jak wygląda proces. Nigdy nie miałem ku temu okazji. „Tak – odpowiedział drugi żandarm – ale w końcu i tak to męczy".

Niedługo potem w pokoju zadźwięczał dzwonek. Wówczas zdjęli mi kajdanki. Otworzyli drzwi i zaprowadzili mnie na ławę oskarżonych. Sala była nabita po brzegi. Mimo zasłon słońce miejscami przedostawało się do środka i już było duszno. Okna pozostawiono zamknięte. Usiadłem i żandarmi zajęli miejsce po obu moich stronach. W tej samej chwili ujrzałem przed sobą rząd twarzy. Wszystkie patrzyły na mnie: zrozumiałem, że byli to sędziowie przysięgli. Ale nie umiem powiedzieć, co odróżniało jedne od drugich. Odniosłem jedynie wrażenie, że znajduję się przed ławką w tramwaju i wszyscy ci anonimowi pasażerowie wbijają wzrok we wsiadającego, aby wytropić jego śmiesznostki. Wiem dobrze, że ta myśl była niemądra, gdyż nie śmiesznostek szukali, lecz zbrodni.

W końcu różnica nie jest przecież duża i coś takiego właśnie przyszło mi do głowy.

Byłem nieco oszołomiony z powodu wszystkich tych ludzi stłoczonych w zamkniętej sali. Raz jeszcze rozejrzałem się wokół i nie udało mi się odróżnić żadnej twarzy. Na początku chyba nie uzmysłowiłem sobie, że wszyscy oni cisną się, żeby mnie zobaczyć. Na ogół ludzie nie zajmowali się mną. Musiałem zdobyć się na wysiłek, aby zrozumieć, że to ja jestem przyczyną zbiegowiska. Powiedziałem do żandarma: „Ależ tłok". Odrzekł, że to z powodu tych z gazet, i wskazał mi grupkę siedzącą przy stole poniżej ławy przysięgłych. Powiedział: „To ci!". Spytałem: „Kto?", a on powtórzył: „Ci z gazet". Znał jednego z dziennikarzy, który właśnie go spostrzegł i podszedł do nas. Był to starszy już, sympatyczny mężczyzna z nieco grymaśną twarzą. Wylewnie uścisnął rękę żandarma. Zauważyłem wówczas, że wszyscy wokół machają do siebie, witają się, rozmawiają jak w klubie, gdzie miło jest spotkać ludzi z tego samego świata. Wyjaśniało to moje dziwne odczucie, że jestem tutaj intruzem. Jednak dziennikarz zwrócił się do mnie z uśmiechem. Powiedział, że ma nadzieję, że wszystko się potoczy po mojej myśli. Podziękowałem mu i dodał: „Wie pan, nieco rozdmuchaliśmy pańską sprawę. Lato to dla gazet martwy sezon. Tylko pańska historia i historia ojcobójcy są coś warte". Po czym pokazał mi w grupce, od której się oddalił, niskiego faceta, który przypominał tłustą łasicę, w ogromnych okularach w czarnych oprawkach. Powiedział, że to specjalny wysłannik z Paryża. „Nie przyjechał tu zresztą dla pana. Ale skoro ma pisać o procesie ojcobójcy, polecono mu zrelacjonować od razu pańską sprawę". Nieomal mu znowu podziękowałem. Ale pomyślałem, że to byłoby śmieszne. Pomachał do mnie serdecznie i odszedł. Czekaliśmy kolejne minuty.

Mój adwokat pojawił się w todze otoczony przez kolegów. Podszedł do dziennikarzy, uścisnął parę dłoni. Żartowali, śmiali się aż do chwili, gdy w sali rozległ się dzwonek. Wszyscy wrócili na miejsca. Adwokat podszedł do mnie, uścisnął mi dłoń i poradził, abym na zadawane pytania odpowiadał krótko, nie wyskakiwał z czymś własnym, a z całą resztą zdał się na niego.

Po lewej stronie usłyszałem szurnięcie odstawianego krzesła i zobaczyłem wysokiego szczupłego mężczyznę w czerwieni, z lornionem na oczach, starannie układającego togę, kiedy siadał. To był prokurator. Woźny sądowy obwieścił, że sąd idzie. W tej samej chwili zaczęły warczeć dwa wielkie wentylatory. Pojawiło się trzech sędziów z aktami w ręku, dwóch w czerni, jeden w czerwieni, i szybko przeszło w stronę podestu górującego nad salą. Mężczyzna w czerwonej todze usiadł pośrodku, położył przed sobą biret, wytarł chusteczką swą małą łysą czaszkę i oznajmił, że otwiera posiedzenie.

Dziennikarze trzymali już pióra w palcach. Wszyscy przybrali ten sam obojętny i nieco kpiący wyraz twarzy. Ale jeden z nich, o wiele młodszy, w szarej flanelowej marynarce z niebieskim krawatem, położył pióro przed sobą i patrzył na mnie. W jego nieco nieregularnej twarzy dostrzegłem jedynie parę bardzo jasnych oczu, badających mnie uważnie, niewyrażających niczego uchwytnego. I odniosłem dziwne wrażenie, że patrzę na siebie samego. Być może z tego powodu, nie znając ponadto tutejszych zwyczajów, nie bardzo pojąłem, co się wydarzyło, losowanie sędziów przysięgłych, pytania zadawane przez przewodniczącego adwokatowi i sędziom (za każdym razem wszystkie głowy sędziów zwracały się jednocześnie w stronę sądu), szybkie odczytanie aktu oskarżenia, w którym rozpoznałem nazwy miejsc i imiona osób, i kolejne pytania stawiane obrońcy.

Ale przewodniczący zapowiedział, że zostaną teraz wywołani świadkowie. Woźny odczytał nazwiska, które przyciągnęły moją uwagę. Zobaczyłem, jak spośród publiczności, dotąd tak bezkształtnej, wstają po kolei, po czym znikają w bocznych drzwiach dyrektor i dozorca przytułku, stary Thomas Pérez, Raymond, Masson, Salamano, Marie. Która trwożliwie przekazała mi znak. Nie przestałem się jeszcze dziwić, że nie zauważyłem ich wcześniej, kiedy na imienne wezwanie jako ostatni wstał Céleste. Obok niego rozpoznałem małą kobietkę z restauracji; była w tym samym żakiecie i wyglądała równie stanowczo i pewnie. Usilnie się we mnie wpatrywała. Nie miałem jednak czasu, by się nad tym zastanawiać, gdyż przewodniczący zabrał głos. Powiedział, że właściwa rozprawa za chwilę się rozpocznie i że uważa za zbędne przypominanie

publiczności o zachowaniu spokoju. Jest tutaj po to, żeby bezstronnie przewodniczyć sesji sądowej w sprawie, którą chciał rozważyć jak najobiektywniej. Wyrok wydany przez sąd zostanie powzięty w duchu sprawiedliwości, a w razie jakiegokolwiek incydentu każe opróżnić salę.

Upał narastał i widziałem, że zebrani w sali wachlują się gazetami. Stąd brał się nieprzerwany szelest ugniatanego papieru. Przewodniczący dał znak i woźny doniósł trzy wachlarze z wyplatanej słomki, którymi trzech sędziów zaczęło natychmiast machać.

Moje przesłuchanie zaczęło się bezzwłocznie. Przewodniczący stawiał pytania ze spokojem i, rzekłbym, z niejaką serdecznością. Znowu musiałem potwierdzić swoją tożsamość i pomimo irytacji pomyślałem, że jest to w końcu naturalne, gdyż osądzać jednego człowieka w miejsce innego byłoby nadto poważnym wykroczeniem. Następnie przewodniczący raz jeszcze przedstawił relację z tego, co uczyniłem, co trzy zdania zwracając się do mnie z pytaniem: „Czy wszystko się zgadza?". Za każdym razem odpowiadałem: „Tak, panie przewodniczący", zgodnie z pouczeniem adwokata. Trwało to długo, gdyż przewodniczący podchodził do swego sprawozdania z wielką skrupulatnością. Przez cały ten czas dziennikarze pisali. Czułem na sobie spojrzenie najmłodszego z nich oraz spojrzenie kobiety automatu. Cała ławka tramwajowa była zwrócona w stronę przewodniczącego. Przewodniczący zakasłał, przekartkował akta i wachlując się, zwrócił w moją stronę.

Powiedział, że musi poruszyć teraz kwestie pozornie niezwiązane ze sprawą, lecz które być może jak najbardziej jej dotyczą. Zrozumiałem, że znowu będzie mówił o mamie, i poczułem od razu, jak ogromnie mnie to nudzi. Spytał, dlaczego oddałem mamę do przytułku. Odpowiedziałem, że nie miałem dość pieniędzy, aby nadal z nią mieszkać i się nią opiekować. Spytał, czy to mnie dotknęło osobiście, i odpowiedziałem, że ani mama, ani ja nie oczekiwaliśmy już niczego od siebie, ani zresztą od nikogo, i że oboje przywykliśmy do naszego nowego życia. Przewodniczący powiedział wówczas, że nie będzie tego punktu przeciągał, i spytał prokuratora, czy ma jeszcze jakieś pytania.

Ten zaś, zwrócony półbokiem i nie patrząc na mnie, oznajmił, że za zgodą przewodniczącego chciałby dowiedzieć się, czy zawróciłem w pojedynkę w stronę strumienia z zamiarem zabicia Araba. „Nie" – powiedziałem. „Dlaczego w takim razie oskarżony miał przy sobie broń i w jakim celu wrócił dokładnie w to samo miejsce?" Powiedziałem, że to stało się przypadkiem. Prokurator wycedził: „W tej chwili to wszystko". To, co zdarzyło się dalej, nie było zbyt jasne, przynajmniej dla mnie. Po chwili dziwnej szeptaniny przewodniczący oznajmił, że w rozprawie nastąpi przerwa i że zostanie wznowiona po południu w celu przesłuchania świadków.

Nie miałem czasu na refleksję. Zabrano mnie, wsadzono do karetki i przewieziono do więzienia, gdzie mogłem coś zjeść. Już po chwili, tak że ledwo miałem czas poczuć zmęczenie, wrócono po mnie; wszystko zaczęło się od nowa i znalazłem się w tej samej sali przed tymi samymi twarzami. Tyle że upał się wzmógł i każdy z sędziów, prokurator, mój obrońca i jakimś cudem kilku dziennikarzy dostali po słomianym wachlarzu. Młody dziennikarz i niska kobieta wciąż tu byli. Ale nie wachlowali się, nadal wpatrując się we mnie bez słowa.

Wytarłem pot spływający mi po twarzy i uświadomiłem sobie, gdzie jestem i kim jestem, dopiero w chwili, gdy usłyszałem, jak wywołują dyrektora przytułku. Spytano go, czy mama skarżyła się na mnie, powiedział, że owszem, lecz że uskarżanie się na bliskich należało do nawyków jego pensjonariuszy. Przewodniczący poprosił go, aby dopowiedział, czy matka miała mi za złe, że oddałem ją do przytułku, i dyrektor znowu potwierdził. Ale tym razem niczego już nie dorzucił. Na inne pytanie odpowiedział, że zaskoczył go mój spokój w dniu pogrzebu. Zapytano go, co rozumie przez spokój. Dyrektor zapatrzył się wówczas w czubki butów i powiedział, że nie chciałem zobaczyć mamy, że ani razu nie zapłakałem i że wyjechałem natychmiast po pogrzebie, nie spędziwszy ani chwili nad jej grobem. Jeszcze jedno go zdumiało: pracownik biura pogrzebowego powiedział mu, że nie wiedziałem, ile dokładnie lat miała mama. Zapadła chwila ciszy i przewodniczący spytał go, czy mówił na pewno o mnie. Ponieważ dyrektor nie rozumiał pytania, przewodniczący powiedział: „Tego wymaga prawo". Następnie przewodniczący spytał prokuratora, czy nie ma pytań do świadka,

i prokurator wykrzyknął: „Ależ nie! To wystarczy”, z takim naciskiem i rzucając tak tryumfalnym wzrokiem w moją stronę, że po raz pierwszy od wielu lat miałem głupią ochotę zapłakać, ponieważ poczułem, jak bardzo wszyscy ci ludzie mnie nienawidzą.

Spytawszy przysięgłych i mojego adwokata, czy mają jakieś pytania, przewodniczący przesłuchał dozorcę. Powtórzył się ten sam ceremoniał co w przypadku pozostałych. Podchodząc, dozorca spojrzał na mnie i odwrócił wzrok. Odpowiedział na zadane mu pytania. Powiedział, że nie chciałem zobaczyć mamy, że paliłem, spałem i piłem kawę z mlekiem. W tym momencie poczułem, że jakiś dreszcz przebiega przez salę, i po raz pierwszy dotarło do mnie, że jestem winny. Poproszono dozorcę, aby powtórzył historię z kawą z mlekiem i z papierosami. Prokurator spojrzał na mnie z ironicznym błyskiem w oczach. Wtedy mój obrońca spytał dozorcę, czy nie palił razem ze mną. Ale prokurator gwałtownie oprotestował pytanie: „Kto tu jest przestępcą i co to są za metody polegające na oczernianiu świadków oskarżenia celem pomniejszenia zeznań, które i tak pozostają druzgoczące!”. Mimo to przewodniczący poprosił dozorcę, by odpowiedział na pytanie. Stary odrzekł z zakłopotaną miną: „Dobrze wiem, że nie powinienem. Ale nie ośmieliłem się odmówić papierosa, którym ten pan mnie poczęstował”. Wreszcie spytano mnie, czy mam coś do dodania. „Nic – odpowiedziałem – tylko to, że świadek ma rację. To prawda, że poczęstowałem go papierosem”. Dozorca spojrzał na mnie z lekkim zdziwieniem i jakby z wdzięcznością. Zawahał się, po czym powiedział, że to on zaproponował mi kawę z mlekiem. Mój adwokat oznajmił tryumfalnie, że sędziowie będą umieli to ocenić. Ale prokurator zagrzmiał nad naszymi głowami: „Owszem, panowie sędziowie będą umieli to ocenić. I dojdą do wniosku, że obcy człowiek może zaproponować kawę, lecz syn powinien jej odmówić, stojąc przed ciałem tej, która dała mu życie”. Dozorca wrócił na swoje miejsce.

Kiedy przyszła kolej na Thomasa Péreza, woźny musiał go podtrzymywać w drodze do mównicy. Pérez powiedział, że znał jedynie moją matkę, a mnie widział tylko raz, w dniu pogrzebu. Spytano go, co robiłem tamtego dnia, i odpowiedział: „Proszę

zrozumieć, i dla mnie to było trudne. Niczego więc nie widziałem. Ból przeszkadzał mi patrzeć. Bo dla mnie to był wielki ból. Nawet zemdlałem. Nie mogłem więc widzieć tego pana". Prokurator zapytał, czy przynajmniej widział mnie płaczącego. Pérez odrzekł, że nie. I teraz prokurator powiedział: „Sędziowie będą umieli to ocenić". Mojego adwokata wzięła złość. Zapytał Péreza tonem, który zdał mi się przesadny, „czy widział, że nie płakałem". Pérez powiedział: „Nie". Publiczność wybuchnęła śmiechem. I, zakasując rękaw togi, mój adwokat oznajmił tonem bezdyskusyjnym: „Oto obraz tego procesu. Wszystko jest prawdą i nic nią nie jest". Prokurator miał nieprzeniknioną twarz i końcem ołówka uderzał w nagłówki akt.

Po pięciu minutach przerwy, podczas której adwokat powiedział mi, że wszystko idzie jak najlepiej, wysłuchano Céleste'a, którego powołała obrona. Obrona, czyli ja. Céleste rzucał od czasu do czasu spojrzenia w moją stronę i miął w rękach panamę. Miał na sobie nowy garnitur, który wkładał, gdy czasem w niedzielę szliśmy na wyścigi konne. Ale chyba nie zdołał założyć kołnierzyka, gdyż dopiął koszulę miedzianą klamerką. Spytano go, czy byłem jego klientem, odpowiedział: „Tak, lecz także przyjacielem"; co o mnie myśli, odrzekł, że ze mnie to jest gość; co przez to rozumie, oznajmił, że wszyscy wiedzą, co to znaczy; czy zauważył, że byłem zamknięty w sobie, przyznał jedynie, że nie mówiłem dużo, aby nie strzępić języka. Prokurator zapytał go, czy regularnie opłacałem posiłki. Céleste roześmiał się i oznajmił: „To były szczegóły między nami". Spytano go jeszcze, co myśli o mojej zbrodni. Położył ręce na poręczy i było widać, że się przygotował. Powiedział: „Moim zdaniem zdarzyło się nieszczęście. Każdy wie, co to nieszczęście. Na nieszczęście nie ma silnych. Więc moim zdaniem to było nieszczęście". Chciał mówić dalej, lecz prokurator powiedział, że wystarczy i że już mu dziękują. Céleste na chwilę zaniemówił. Po czym oznajmił, że chce coś jeszcze powiedzieć. Poproszono go o zwięzłość. Raz jeszcze powtórzył, że to było nieszczęście. I przewodniczący powiedział do niego: „Tak, zgadzamy się. Lecz my tu jesteśmy po to, by osądzać takie nieszczęścia. Dziękujemy panu". Céleste, jakby wyczerpał zasób swej wiedzy i dobrej woli, odwrócił

się w moją stronę. Wydało mi się, że jego oczy świecą, a usta drżą. Miał minę, jakby chciał się zapytać, co może jeszcze zrobić. Nic nie powiedziałem, nie uczyniłem żadnego gestu, lecz po raz pierwszy w życiu miałem ochotę uścisnąć jakiegoś człowieka. Przewodniczący ponownie nakazał mu zejść z mównicy. Céleste wrócił na swoje miejsce w sali. Przez resztę rozprawy siedział lekko pochylony, opierając łokcie o kolana, z panamą w dłoniach, wsłuchany we wszystko, co się mówi. Weszła Marie. Miała kapelusz i wciąż była piękna. Ale wolałem ją z rozpuszczonymi włosami. Ze swojego miejsca odgadywałem lekki ciężar jej piersi i rozpoznawałem jej dolną wargę, jak zawsze nieco nabrzmiałą. Wyglądała na bardzo zdenerwowaną. Zapytano ją od razu, jak długo mnie zna. Powiedziała, że od czasu, gdy pracowała u nas. Przewodniczący chciał się dowiedzieć, co ją ze mną łączy. Powiedziała, że jest moją przyjaciółką. Na inne pytanie odpowiedziała, że prawdą jest, że miała za mnie wyjść. Prokurator, zajęty wertowaniem akt, zapytał ją nagle, kiedy się zaczął nasz związek. Określiła datę. Prokurator z obojętną miną zauważył, że, jak mu się zdaje, było to nazajutrz po śmierci mamy. Następnie z lekką ironią powiedział, że nie chciałby być natarczywy w tej tak delikatnej sytuacji i że dobrze rozumie skrupuły Marie, lecz (w tej chwili przybrał twardszy ton) w jego obowiązku leży wznieść się ponad konwenanse. Poprosił więc Marie, by opowiedziała o dniu, w którym ją poznałem. Marie nie chciała mówić, lecz wobec nalegań prokuratora wspomniała o naszej kąpieli, kinie i o tym, jak poszliśmy do mnie do domu. Prokurator powiedział, że po zapoznaniu się z zeznaniami Marie podczas śledztwa sprawdził repertuar z tamtego dnia. Dodał, że Marie sama może powiedzieć, jaki film wówczas pokazywano. Niemal martwym głosem wyjaśniła, że był to film z Fernandelem. Kiedy skończyła, w sali zapadła kompletna cisza. Wówczas prokurator wstał i wskazując palcem w moją stronę, wysylabizował głosem, który zdał mi się prawdziwie wzruszony: „Panowie sędziowie, w dzień po śmierci matki ten człowiek poszedł zażywać kąpieli, rozpoczął nieustatkowany związek i śmiał się na filmie komediowym. Nie mam nic więcej panom do powiedzenia”. Usiadł w trwającej nadal ciszy. Lecz Marie nagle wybuchnęła płaczem, powiedziała, że wcale tak nie

było, że chodziło o coś innego, że zmusza się ją, by mówiła wbrew temu, co myśli naprawdę, że dobrze mnie zna i że nie zrobiłem nic złego. Na znak przewodniczącego woźny odciągnął ją jednak od poręczy i rozprawa potoczyła się dalej.

Następnego w kolejce Massona, który oznajmił, że jestem porządnym człowiekiem i że „powie nawet więcej, człowiekiem przyzwoitym", ledwie słuchano. Ledwie też wysłuchano Salamana, kiedy przypominał, że byłem dobry dla jego psa, i kiedy odpowiadając na pytanie o matkę i o mnie, mówił, że z matką nie mieliśmy już sobie nic do powiedzenia i z tego właśnie powodu oddałem ją do przytułku. „Trzeba to zrozumieć – powtarzał Salamano – trzeba zrozumieć". Jednak nie wyglądało na to, by ktoś rozumiał. Wyprowadzono go.

Następnie przyszła kolej na Raymonda, który był ostatnim świadkiem. Raymond kiwnął do mnie i od razu powiedział, że jestem niewinny. Ale przewodniczący oświadczył, że nikt nie pyta go o zdanie, lecz o fakty. Poprosił, by poczekał na pytania, zanim zabierze głos. Polecono mu określić jego związki z ofiarą. Raymond skorzystał z okazji, by stwierdzić, że to jego nienawidziła ofiara, odkąd spoliczkował jej siostrę. Przewodniczący spytał go wszakże, czy ofiara nie miała powodu, by i mnie nienawidzić. Raymond powiedział, że moja obecność na plaży była przypadkowa. Prokurator spytał go wówczas, jak to się stało, że list, który leżał u źródeł dramatu, został napisany przeze mnie. Raymond odrzekł, że był to przypadek. Prokurator odparł, że w całej tej historii przypadek ma już wiele na sumieniu. Chciał się dowiedzieć, czy to przez przypadek nie zareagowałem, kiedy Raymond spoliczkował kochankę, czy przez przypadek posłużyłem za świadka na komisariacie, czy wreszcie przez przypadek moje zeznania jako świadka okazały się tak bardzo dla niego korzystne. Na koniec spytał Raymonda, skąd bierze środki do życia, a że Raymond odparł: „Jestem magazynierem", prokurator poinformował sędziów, że powszechnie wiadomo, iż świadek uprawia zawód sutenera. A ja byłem jego zaufanym i przyjacielem. Chodzi o ohydną zbrodnię najgorszego rodzaju, tym cięższą, że mamy do czynienia z moralnym potworem. Raymond chciał się bronić, a mój obrońca zgłosił protest, lecz powiedziano im, że

najpierw musi dokończyć prokurator. Ten powiedział: „Mam niewiele do dodania. Czy oskarżony był pańskim przyjacielem?" – spytał Raymonda. „Tak – odpowiedział Raymond – był dobrym kumplem". Prokurator zadał mi wówczas to samo pytanie i spojrzałem na Raymonda, który nie odwrócił wzroku. Odpowiedziałem: „Tak". Prokurator skierował się wtedy w stronę sędziów i oznajmił: „Ten sam człowiek, który nazajutrz po śmierci matki oddawał się najobrzydliwszej rozpuście, zabił z błahej przyczyny, aby zakończyć aferę obyczajową najgorszego rodzaju".

I usiadł. Ale mój adwokat, już u kresu cierpliwości, wykrzyknął, unosząc ramiona tak, że rękawy togi zsunęły się i odsłoniły plisy wykrochmalonej koszuli: „Czy mój klient oskarżony jest w końcu o to, że pogrzebał matkę, czy o to, że zabił człowieka?". Publiczność wybuchnęła śmiechem. Na co prokurator znowu wstał, poprawił togę i oświadczył, że trzeba podzielać naiwność szanownego obrońcy, aby nie odczuć, że między oboma tymi porządkami zdarzeń istnieje głęboki, dramatyczny, najbardziej fundamentalny związek. „Tak – wykrzyknął z całą mocą – oskarżam tego człowieka o to, że pogrzebał swą matkę, mając serce przestępcy". Ta deklaracja wywarła na publiczności widoczne wrażenie. Adwokat wzruszył ramionami i starł pot z czoła. Ale i on wydawał się wstrząśnięty i zrozumiałem, że sprawy nie mają się dobrze.

Przesłuchanie świadków dobiegło końca. W drodze z gmachu sprawiedliwości do karetki więziennej na krótką chwilę rozpoznałem zapach i barwę letniego wieczoru. W ciemnościach pędzącego lochu odnajdywałem po kolei, jakby na dnie zmęczenia, wszystkie znajome odgłosy miasta, które kochałem, i tej pory dnia, w której niegdyś czułem się zadowolony. Krzyk gazeciarzy w już lżejszym powietrzu, ostatnie ptaki na skwerach, nawoływania sprzedawców kanapek, skarga tramwajów na zakrętach wysoko w mieście i ten zgiełk nieba, zanim noc spadnie na port, wszystko to odtwarzało dla mnie niewidoczny teraz szlak, który tak dobrze znałem przed uwięzieniem. Tak, to była pora, w której dawno temu czułem się zadowolony. Wtedy czekał mnie zawsze lekki sen bez śnienia. A jednak coś się zmieniło, skoro czekając na następny dzień, nadal

byłem w celi. Tak jakby znajome drogi wytyczone na letnich niebach mogły prowadzić równie dobrze do więzień, co do niewinnego snu.

IV

Nawet na ławie oskarżonych zawsze ciekawie jest posłuchać o sobie. Mogę stwierdzić, że podczas mów prokuratora i obrońcy wiele o mnie opowiadano, być może więcej o mnie niż o mojej zbrodni. Czy zresztą mowy te tak bardzo się od siebie różniły? Obrońca wznosił ramiona i uznawał winę, tyle że przy okolicznościach łagodzących. Prokurator wyciągał przed siebie ręce i wskazywał na winę, tyle że bez okoliczności łagodzących. Ale jedno nieco mi przeszkadzało. Choć starałem się słuchać, chciałem chwilami się wtrącić i adwokat mówił mi wówczas: „Siedźże pan cicho, tak będzie lepiej dla pańskiej sprawy". Wyglądało to właściwie tak, jakby prowadzono ją poza moimi plecami. Wszystko odbywało się bez mojego udziału. Rozstrzygał się mój los, a ja nie mogłem przedstawić swojego zdania. Chwilami miałem ochotę przerwać wszystkim i rzec: „No ale kto tu jest oskarżonym? Być oskarżonym to nie byle co. I ja mam coś do powiedzenia". Ale, gdyby się głębiej zastanowić, nie miałem nic do powiedzenia. Zresztą muszę przyznać, że frajda z przyciągania uwagi innych nie trwa długo. Na przykład mowa prokuratora bardzo szybko mnie znużyła. Jedynie niektóre fragmenty, gesty, czy nawet całe tyrady, ale wyrwane z całości, uderzyły mnie szczególnie czy wzbudziły zainteresowanie.

Jego wywód, jeśli tylko dobrze zrozumiałem, opierał się na przekonaniu, że dokonałem zbrodni z pełną premedytacją. A przynajmniej próbował to wykazać. Jak sam to ujął: „Przedstawię dowód, panowie, i uczynię to na dwa sposoby. Najpierw w oślepiającym blasku faktów, a następnie w mrocznym świetle, które bije z psychiki tej przestępczej duszy". Streścił fakty począwszy od śmierci mamy. Przypomniał moją nieczułość, nieznajomość jej wieku, kąpiel w towarzystwie kobiety dzień później, kino, Fernandela i wreszcie wieczór u mnie z Marie. Nie od razu zrozumiałem, gdyż powiedział w tamtej chwili „kochanka", a dla mnie to była Marie. Następnie przeszedł do historii z Raymondem. Musiałem przyznać,

że jego spojrzeniu na fakty nie brakowało jasności. To, co mówił, mogło trafić do przekonania. Napisałem razem z Raymondem list pojednawczy, aby ściągnąć jego kochankę i wydać ją w ręce człowieka o „wątpliwej moralności". Na plaży sprowokowałem przeciwników Raymonda. Tenże został ranny. Poprosiłem go o rewolwer. Wróciłem sam, aby go użyć. Zastrzeliłem Araba, bo tak planowałem. Odczekałem. I, „chcąc mieć pewność, że nie spartaczyłem roboty", wystrzeliłem z największym spokojem jeszcze cztery kule, bez żadnego wahania, w pełni świadomie.

„Tak się mają sprawy, panowie – powiedział prokurator. – Nakreśliłem przed wami bieg zdarzeń, które doprowadziły tego człowieka do zabójstwa w pełni poczytalności. Podkreślam ten fakt – rzekł. – Nie chodzi bowiem o zwykłe zabójstwo, o nieprzemyślany czyn, którego okoliczności mogliby panowie uznać za łagodzące. Ten człowiek, panowie, ten człowiek jest inteligentny. Słyszeliście go, nieprawdaż? Wie, jak odpowiadać. Zna wartość słów. I nie można powiedzieć, że działał, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni".

Słuchałem go i dotarło do mnie, że uznaje mnie za kogoś inteligentnego. Ale nie rozumiałem, w jaki sposób zalety zwykłego człowieka mogą zmienić się w miażdżące argumenty, kiedy staje się on podsądnym. W każdym razie ta kwestia mnie nurtowała i nie słuchałem już więcej prokuratora aż do chwili, w której powiedział: „Czy kiedykolwiek wyraził żal? Nigdy, panowie. Ani razu podczas śledztwa ten człowiek nie wydał się poruszony swym ohydnym postępkiem". W tym momencie zwrócił się w moją stronę i wskazał mnie palcem, dalej rzucając na mnie gwałtowne oskarżenia, których w gruncie rzeczy nie umiałem pojąć. Niewątpliwie nie mogłem nie przyznać przed sobą, że ma rację. Nie żałowałem w szczególny sposób swojego postępku. Ale dziwiła mnie taka zawziętość. Miałem ochotę wyjaśnić mu serdecznie, niemal z uczuciem, że nigdy nie zdarzyło mi się czegokolwiek żałować. Zawsze dawałem się ponieść temu, co miało się zdarzyć, dzisiaj czy jutro. Ale naturalnie, w położeniu, w jakim się znalazłem, nie mogłem do nikogo zwracać się takim tonem. Nie miałem prawa okazać uczuć, przejawiać dobrej woli. I znowu próbowałem słuchać, gdyż prokurator przystąpił do opowieści o mojej duszy.

Mówił, że pochylił się nad nią i niczego w niej nie znalazł, panowie sędziowie. Mówił, że w istocie nie mam żadnej duszy i że nic, co ludzkie, żadna z zasad moralnych, które stoją na straży ludzkich serc, nie jest dla mnie dostępne. „Bez wątpienia – dodał – nie powinniśmy mu tego wyrzucać. Nie możemy uskarżać się na brak czegoś, czego on sam posiąść nie zdoła. Lecz dla tego sądu płonna cnota tolerancji powinna przeistoczyć się w nie tak łatwą, lecz wyższą cnotę sprawiedliwości. Zwłaszcza gdy pustka serca, jaką odkrywamy u tego człowieka, staje się przepaścią, w którą mogłoby się stoczyć społeczeństwo". Wtedy zaczął mówić o mojej postawie wobec mamy. Powtórzył to, co powiedział wcześniej podczas rozprawy. Jednak rozwodził się nad tym tematem znacznie dłużej niż nad moją zbrodnią, tak długo, że nie czułem już niczego poza skwarem poranka. A przynajmniej do chwili, gdy prokurator przerwał i po krótkiej chwili milczenia podjął bardzo niskim i przejmującym głosem: „Ten sam sąd, panowie, wyda jutro wyrok w sprawie najohydniejszego z uczynków: zabójstwa ojca". Jego zdaniem wyobraźnia była bezbronna wobec tak przerażającego postępku. Ośmielał się mieć nadzieję, że sprawiedliwość ludzi wymierzy karę z całą surowością. Ale nie obawiał się stwierdzić, że zgroza, jaką wzbudzała w nim ta zbrodnia, niemal nie ustępuje tej, jaką odczuwał względem mojej nieczułości. Wedle niego człowiek, który moralnie zabija swoją matkę, umieszcza się poza społeczeństwem ludzi na podobnej zasadzie co człowiek, który podnosi morderczą rękę na twórcę swego życia. W każdym razie ten pierwszy przygotowywał czyn tego drugiego, zwiastował go niejako i torował mu drogę. „Jestem przekonany, panowie – dodał, podnosząc głos – że nie uznacie za nadto śmiałe stwierdzenia, iż człowiek, który siedzi na tej ławie, winny jest również zbrodni, o której ten sam sąd ma wyrokować jutro. Musi zatem ponieść karę". W tym momencie prokurator wytarł sobie twarz lśniącą od potu. I powiedział wreszcie, że jego obowiązek jest bolesny, lecz wypełni go z całą stanowczością. Oznajmił, że nie mam nic wspólnego ze społeczeństwem, gdyż lekceważyłem jego najbardziej podstawowe prawa, i że nie mogę domagać się łaski od ludzkiego serca, nie znając jego podstawowych odruchów. „Żądam od was głowy tego człowieka – powiedział –

i żądam jej z lekkim sercem. O ile bowiem podczas mojej już długiej kariery zdarzało mi się domagać najwyższego wymiaru kary, o tyle nigdy nie czułem równie głęboko jak dzisiaj, że ciężar tego obowiązku zrekompensują, zrównoważą, wytłumaczą świadomość wyższego przykazania, nieodpartego i świętego, oraz zgroza, jaką odczuwam na widok tego człowieczego oblicza, w którym nie dostrzegam niczego więcej poza potwornością".

Kiedy prokurator usiadł, zapadła dłuższa cisza. Byłem nieprzytomny od upału i zdziwienia. Przewodniczący odkasłał i bardzo cichym głosem spytał mnie, czy mam coś do dodania. Wstałem, a że miałem ochotę mówić, powiedziałem, nieco na ślepo, że nie zamierzałem zabić Araba. Przewodniczący odpowiedział, że to jest deklaracja, że do tej pory słabo pojmował mój system obrony i że przed wysłuchaniem mojego obrońcy byłby bardzo rad, gdybym uściślił motywy, dla których popełniłem swój czyn. Powiedziałem szybko, nieco plącząc słowa i uświadamiając sobie własną śmieszność, że to się stało z powodu słońca. W sali rozległ się śmiech. Mój adwokat wzruszył ramionami i chwilę później oddano mu głos. Jednak oświadczył, że zrobiło się już późno, że jego mowa potrwa kilka godzin i że prosi o jej przesunięcie na popołudnie. Sąd na to przystał.

Po południu wielkie wentylatory wciąż rozpraszały gęste powietrze w sali i małe wielobarwne wachlarze sędziów poruszały się miarowo. Mowa mojego obrońcy zdawała się nie mieć końca. Jednak w pewnej chwili zacząłem się jej przysłuchiwać, gdyż rzekł: „To prawda, zabiłem". I kontynuował na tę modłę, mówiąc „ja" za każdym razem, gdy miał mnie na myśli. Byłem bardzo zdziwiony. Pochyliłem się w stronę jednego z żandarmów i spytałem, o co chodzi. Kazał mi się uciszyć i po chwili dodał: „Wszyscy adwokaci tak robią". Pomyślałem, że w ten sposób znowu odsuwa się mnie od sprawy, robi ze mnie zero i w pewnym sensie włazi na moje miejsce. Ale myślę, że sam byłem już bardzo daleko od tej sali i od tego posiedzenia. Zresztą mój obrońca wydał mi się żałosny. Naprędce użył argumentu prowokacji, po czym również zajął się omawianiem mojej duszy. Ale wydał mi się o wiele mniej utalentowany niż prokurator. „Ja także – powiedział – pochyliłem się nad tą duszą, lecz

w przeciwieństwie do naszego wybitnego przedstawiciela służby publicznej coś w niej znalazłem i mogę wręcz powiedzieć, że czytałem w niej jak w otwartej księdze". Wyczytał z niej, że byłem porządnym człowiekiem, pracownikiem sumiennym, gorliwym, oddanym firmie, która mnie zatrudniała, lubianym przez wszystkich i pełnym współczucia dla dotkniętych przez los. Wedle niego byłem wzorowym synem utrzymującym matkę tak długo, jak to było możliwe. Bo też miałem nadzieję, że dom starców zapewni starszej pani wygody, których moje środki nie pozwalały zabezpieczyć. „Dziwi mnie, panowie – dodał – że wokół kwestii przytułku zrobiono aż tyle hałasu. Albowiem gdyby przyszło udowadniać użyteczność i wielkość takich instytucji, wypadałoby wspomnieć, że żyją one z subwencji państwowej". Nie napomknął tylko o pogrzebie i poczułem, że tego zabrakło w jego mowie. Ale z powodu wszystkich tych długich zdań, wszystkich tych dni i niekończących się godzin, podczas których mówiono o mojej duszy, miałem wrażenie, że wszystko stawało się bezbarwne jak woda, od której mąci mi się w głowie.

Na koniec przypominam sobie tylko, że gdy obrońca przemawiał w najlepsze, z ulicy dotarł przez wszystkie sale i korytarze sądu dźwięk trąbki obwoźnego sprzedawcy lodów. Osaczyły mnie wspomnienia życia, które już do mnie nie należało, lecz w którym znalazłem najdrobniejsze i najtrwalsze radości: zapachy lata, dzielnicę, którą kochałem, szczególne niebo wieczorami, śmiech i sukienki Marie. Od zbędnego tkwienia w tym miejscu zrobiło mi się niedobrze i śpieszno mi było tylko do jednego: żeby już z tym skończyć i wrócić do celi, i zasnąć. Ledwo usłyszałem mojego obrońcę, wykrzykującego jeszcze, że sędziowie nie zechcą chyba wysłać na śmierć uczciwego pracownika, który zatracił się na jedną chwilę, i proszącego na koniec o uznanie okoliczności łagodzących dla zbrodni, z powodu której odbywałem już najskuteczniejszą z kar w postaci wiecznych wyrzutów sumienia. Sąd zawiesił rozprawę i adwokat usiadł wycieńczony. Ale jego koledzy podeszli uścisnąć mu dłoń. Usłyszałem: „Wspaniałe, mój drogi". Jeden z nich wziął mnie nawet na świadka. „Nieźle, co?" – powiedział. Skinąłem głową, ale moja pochwała nie była szczera, gdyż byłem zbyt zmęczony.

Dzień się przesunął i upał już tak nie doskwierał. Z różnych ulicznych odgłosów, które do mnie docierały, domyślałem się, że wieczór jest łagodny. Nikt nie wychodził, wszyscy czekaliśmy. Lecz to, na co wspólnie czekaliśmy, dotyczyło tylko mnie. Raz jeszcze spojrzałem na salę. Wszystko wyglądało tak jak pierwszego dnia. Napotkałem spojrzenia dziennikarza w szarej marynarce i kobiety automatu. To mi przypomniało, że przez całą rozprawę nie szukałem wzrokiem Marie. Nie zapomniałem o niej, lecz za dużo się działo wokół. Zobaczyłem ją między Céleste'em a Raymondem. Pomachała do mnie, jakby chciała powiedzieć: „No nareszcie", i ujrzałem jej twarz, nieco zalęknioną i uśmiechniętą. Lecz czułem, że moje serce jest zamknięte, i nawet nie umiałem odpowiedzieć na jej uśmiech.

Sąd wrócił. Bardzo szybko odczytano sędziom przysięgłym serię pytań. Usłyszałem „winny zabójstwa"... „z premedytacją"... „okoliczności łagodzące". Sędziowie wyszli i zaprowadzono mnie do małego pomieszczenia, w którym już poprzednio czekałem. Dołączył do mnie adwokat: był bardzo rozmowny i przemawiał do mnie bardziej ufnie i serdecznie niż kiedykolwiek. Sądził, że wszystko pójdzie dobrze i wyjdę z tego z paroma latami więzienia lub ciężkich robót. Spytałem go, czy w przypadku niepomyślnego wyroku istnieją szanse na jego kasację. Powiedział mi, że nie. Jego taktyka polegała na nieformułowaniu wniosków, aby nie zrazić sędziów przysięgłych. Wyjaśnił mi, że nie kasuje się wyroku ot tak. Wydało mi się to oczywiste i uznałem jego racje. Jeśli rozważyć wszystko na zimno, było to całkowicie naturalne. W przeciwnym wypadku uzbierałoby się zbyt dużo niepotrzebnych papierzysk. „W każdym razie – powiedział adwokat – pozostaje jeszcze odwołanie. Ale jestem przekonany, że werdykt będzie pomyślny".

Czekaliśmy bardzo długo, jakieś dobre trzy kwadranse. Wreszcie rozległ się dzwonek. Adwokat zostawił mnie, mówiąc: „Przewodniczący składu przeczyta odpowiedzi. Pana wprowadzą dopiero na ogłoszenie wyroku". Trzasnęły drzwi. Ludzie biegli po schodach, nie wiedziałem, czy w pobliżu, czy gdzieś dalej. Po czym usłyszałem przytłumiony głos odczytujący coś w sali. Kiedy raz jeszcze zadźwięczał dzwonek i drzwiczki do mojego boksu się otworzyły, dotknęło mnie milczenie sali, milczenie i to szczególne

uczucie, którego doznałem, kiedy stwierdziłem, że młody dziennikarz odwrócił wzrok. Nie spojrzałem w stronę Marie. Nie miałem na to czasu, ponieważ przewodniczący powiedział do mnie w dziwacznej formule, że zetną mi głowę na placu publicznym w imieniu narodu francuskiego. Wydało mi się wówczas, że rozpoznaję uczucie, które odczytałem na wszystkich twarzach. Sądzę, że był to szacunek. Żandarmi byli dla mnie bardzo łagodni. Obrońca położył dłoń na moim przegubie. Nie myślałem już o niczym. Ale przewodniczący spytał mnie, czy nie mam nic do dodania. Zastanowiłem się. Powiedziałem: „Nie”. I wówczas mnie zabrali.

V

Po raz trzeci odmówiłem przyjęcia kapelana. Nie mam mu nic do powiedzenia, nie mam ochoty na rozmowę, przecież ujrzę go niedługo. Jedno mnie w tej chwili zajmuje, w jaki sposób wymknąć się całej tej mechanice, dowiedzieć się, czy z nieuchronności jest jakieś wyjście. Przeniesiono mnie do innej celi. W tej nowej, kiedy się położę, widzę niebo i nic poza tym. Spędzam wszystkie dni, śledząc na jego obliczu zmierzch kolorów, który prowadzi dzień w stronę nocy. Leżę, wkładam ręce pod głowę i czekam. Nie wiem, ile już razy stawiałem sobie pytanie, czy istnieją skazańcy, którzy wymknęli się bezlitosnej mechanice, zniknęli przed egzekucją, przedarli się przez kordon strażników. W takich chwilach wyrzucałem sobie, że nie dość uwagi poświęciłem sprawozdaniom z egzekucji. Człowiek powinien zawsze interesować się tymi kwestiami. Nigdy nie wiadomo, co może się zdarzyć. Jak wszyscy czytywałem relacje w gazetach. Ale musiały też istnieć jakieś osobne książki na ten temat, do których nigdy nie byłem ciekaw zajrzeć. Może znalazłbym w nich opowieści o ucieczkach. Dowiedziałbym się, że w jednym co najmniej przypadku koło się zatrzymało, że chociaż raz przypadek i łut szczęścia coś naruszyły wewnątrz tej bezwzględnej precyzji. Jeden jedyny raz! W pewnym sensie to by mi wystarczyło. Reszty dokonałoby moje serce. Gazety mówiły często o długu do spłacenia społeczeństwu. Należało wedle nich spłacić go do końca. Lecz to nie przemawia do wyobraźni. Liczyła się tylko możliwość ucieczki, wyrwanie się z bezlitosnego rytuału, szaleńczy bieg, który dałby szansę, że będzie można mieć nadzieję. Naturalnie nadzieją było paść trupem na rogu ulicy, dostać w pełnym pędzie przelatującą kulę. Ale po namyśle nic na taki luksus nie pozwalało, wszystko go zabraniało, mechanika brała górę.

Mimo całej dobrej woli nie mogłem przystać na jej bezczelną pewność. Bo przecież istniał żałosny rozdźwięk między wyrokiem, który ją uruchamiał, a jej niezakłóconym przebiegiem od chwili,

w której wyrok został wydany. Fakt, że został ogłoszony o godzinie dwudziestej raczej niż o siedemnastej, że mógł brzmieć zupełnie inaczej, że wydali go ludzie, którzy zmieniają bieliznę, że wydano go w imieniu pojęcia równie nieścisłego, co pojęcie narodu francuskiego (niemieckiego czy chińskiego), wszystko to w moich oczach ujmowało powagi tak podjętej decyzji. A jednak musiałem przyznać, że od pierwszej sekundy po jej ogłoszeniu skutki stawały się równie pewne, równie poważne, co obecność tego muru, do którego przyciskałem ciało.

W tamtych chwilach przypomniałem sobie pewną historię związaną z ojcem, o której opowiedziała mi mama. Ojca nie znałem. Wszystko, co wiedziałem o tym człowieku, musiało się łączyć z opowieścią mamy: poszedł obejrzeć egzekucję mordercy. Na samą myśl, że ma tam się wybrać, poczuł się słabo. A jednak poszedł i po powrocie wymiotował przez resztę poranka. Brzydziło mnie to nieco. Lecz teraz go rozumiałem, to było takie naturalne. Jakże mogłem nie spostrzec, że nie ma rzeczy ważniejszej od wykonania wyroku śmierci i że w sumie tylko egzekucja może zaciekawić człowieka! Gdybym wyszedł z więzienia, chodziłbym oglądać wszystkie egzekucje! Chyba niepotrzebnie rozważałem taką możliwość. Bo na myśl, że któregoś poranka ujrzę siebie wolnym, za kordonem strażników, po drugiej stronie niejako, na myśl, że będę ciekawskim widzem, który później będzie wymiotował, w serce wstępowała mi fala zatrutej radości. To nie było rozsądne. Niepotrzebnie oddawałem się wyobrażeniom, gdyż po chwili robiło mi się tak przeraźliwie zimno, że kuliłem się cały pod kocem. I nie mogłem się powstrzymać od szczękania zębami.

Naturalnie nie zawsze można zachowywać się zgodnie z rozsądkiem. Kiedy indziej wymyślałem na przykład projekty praw. Reformowałem system kar. Wnosiłem, że kwestią najistotniejszą jest ofiarowanie skazańcowi szansy. Jednej na tysiąc, to by starczyło, aby ułożyć wiele rzeczy. Uznawałem zatem, że można byłoby stworzyć taką substancję chemiczną, której zażycie zabijałoby pacjenta (myślałem: pacjenta) w dziewięciu przypadkach na dziesięć. Warunkiem byłoby, żeby on o tym wiedział. Albowiem jeśli się dobrze zastanowić, rozważyć wszystko jak najspokojniej, wadą

gilotyny, wnioskowałem, było to, że nie pozostawiała szansy, najmniejszej szansy. Śmierć pacjenta była więc przesądzona z góry, raz na zawsze. Sprawę zamykano, wynik ustalano; osiągnięto porozumienie i nie było mowy, by do tego wracać. Gdyby jakimś cudem ostrze nie trafiło, zaczęto by od nowa. W efekcie najbardziej nieprzyjemne było to, że skazaniec winien sobie życzyć sprawnego działania machiny. Jak mówię, to jest ta jej wadliwa strona. I właściwie trudno temu zaprzeczyć. Ale też nie mogłem nie przyznać, że na tym przecież polega sekret dobrej organizacji. Skazaniec był ostatecznie zmuszony do moralnej kolaboracji. W jego interesie leżało, by wszystko potoczyło się gładko.

Musiałem również stwierdzić, że dotychczas moje wyobrażenia o tych kwestiach nie były trafne. Przez długi czas sądziłem – zupełnie nie wiem dlaczego – że wejście na gilotynę wymaga wspięcia się na szafot, pokonania kilku schodków. Myślę, że to z powodu rewolucji 1789 roku, to znaczy z powodu tego wszystkiego, czego mnie nauczono czy mi pokazano. Ale pewnego ranka przypomniałem sobie o fotografii zamieszczonej w prasie po jakiejś głośnej egzekucji. W rzeczywistości machina najzwyczajniej w świecie stała na gołej ziemi. Była o wiele węższa, niż sądziłem. To dość zabawne, że wcześniej tego nie zauważyłem. Machina na zdjęciu uderzyła mnie precyzją wykonania, dopracowanym i połyskliwym wyglądem. Nasze wyobrażenia rzeczy, których nie znamy, są zawsze przesadne. Musiałem, wprost przeciwnie, stwierdzić, że wszystko było prostsze: machina stoi na tym samym poziomie, co człowiek, który się do niej zbliża. Podchodzi do niej tak, jakby miał się spotkać z inną osobą. To również było przykre. Wstąpienie na szafot, w stronę otwartego nieba – wyobraźnia miała się o co zaczepić. Tymczasem i tu mechanika wszystko dławiła: zabijano człowieka dyskretnie, nieco wstydliwie i z wielką dokładnością.

Były jeszcze dwie inne rzeczy, do których wracałem bez ustanku: świt i odwołanie. Próbowałem jednak siebie powstrzymać i nie myśleć już o nich. Kładłem się, wpatrywałem w niebo, to nim starałem się zajmować. Stawało się zielone, nadchodził zatem wieczór. Podejmowałem kolejny wysiłek, aby odwrócić bieg myśli.

Wsłuchiwałem się w serce. Nie mogłem sobie wyobrazić, że jego stukot, towarzyszący mi od tak dawna, miałby kiedykolwiek ustać. Nigdy nie miałem prawdziwej wyobraźni. Usiłowałem jednak przedstawić sobie tę sekundę, w której uderzenia serca nie dotrą już do mojej głowy. Na próżno wszak. Świt albo odwołanie mnie nie opuszczały. Ostatecznie uznałem, że najrozsądniej będzie do niczego się nie zmuszać.

Wiedziałem, że przychodzą o świcie. Noce spędzałem właściwie na oczekiwaniu. Nigdy nie lubiłem być zaskakiwany. Kiedy coś mi się przytrafia, wolę przy tym być. Dlatego w końcu podsypiałem jedynie za dnia, a przez całą noc czekałem cierpliwie, aż na szybie nieba narodzi się światło. Najtrudniejsza była owa niepewna godzina, o której, wiedziałem, zazwyczaj się pojawiają. Po północy czekałem i czuwałem. Nigdy moje ucho nie wyłapało tylu odgłosów, nie wychwyciło tylu najcichszych dźwięków. Mogę zresztą powiedzieć, że właściwie miałem w tamtym czasie szczęście, gdyż nigdy nie usłyszałem kroków. Mama często mówiła, że nigdy nie jest się tak zupełnie nieszczęśliwym. Przyznawałem jej rację, kiedy w więzieniu niebo nabierało barw i do celi wślizgiwał się nowy dzień. Bo przecież równie dobrze mogłem usłyszeć kroki i serce mogło mi pęknąć. Jeśli nawet na najmniejszy szelest rzucałem się do drzwi, jeśli nawet przyklejając ucho do ich drewna, czekałem rozpaczliwie, aż usłyszę własny oddech i przerażę się, że jest tak chrapliwy i tak podobny do charczenia psa, serce ostatecznie mi nie pękało i znów zyskiwałem dobę.

Przez cały dzień było jeszcze moje odwołanie. Sądzę, że z myśli o nim wycisnąłem, ile się dało. Wyliczałem efekty i uzyskiwałem z moich rozważań największą możliwą wydajność. Wybierałem zawsze najgorsze założenie: odwołanie zostanie odrzucone. „I cóż, umrę". Wcześniej od innych, to oczywiste. Jednak wszyscy wiedzą, że życie nie jest warte przeżycia. W gruncie rzeczy wiedziałem dobrze, że umrzeć w wieku lat trzydziestu czy siedemdziesięciu nie robi różnicy, gdyż naturalnie w obu przypadkach inni mężczyźni i inne kobiety będą żyli dalej, i to przez tysiące lat. Nie było nic jaśniejszego pod słońcem. To ja przecież umrę, teraz czy za dwadzieścia lat. W takiej chwili w moim rozumowaniu najbardziej

przeszkadzał mi ów potworny skurcz, który czułem w sobie na myśl o dwudziestu latach życia, które mogłyby jeszcze się zdarzyć. Nie pozostawało mi nic innego, niż ją zdusić, wyobrażając sobie, jak wyglądałyby moje myśli za dwadzieścia lat, jeśli miałbym mimo wszystko tak daleko zajść. Skoro trzeba umrzeć, nie ma znaczenia jak i kiedy, to oczywiste. Zatem (a trudność polega na tym, żeby nie stracić z oczu tego wszystkiego, co owo „zatem" znaczyło w rozumowaniu), zatem powinienem pogodzić się z odrzuceniem mojego odwołania.

Z tą chwilą, dopiero z tą chwilą nabywałem, by tak się wyrazić, prawa, czy udzielałem sobie zgody na rozważenie drugiej hipotezy: zostanę ułaskawiony. Kłopot w tym, że trzeba było pohamować wrzenie w żyłach i w ciele, które rozpalało mi oczy bezrozumną radością. Trzeba było starannie stłumić ten krzyk, potraktować go racjonalnie. Trzeba było zachować się naturalnie nawet przy tej hipotezie, aby uwiarygodnić moje pogodzenie się z losem przy hipotezie pierwszej. Kiedy mi się udawało, zyskiwałem godzinę spokoju. Nie było to do pogardzenia.

W chwili takiej jak ta po raz kolejny odmówiłem przyjęcia kapelana. Leżałem i po szczególnej świetlistości nieba domyślałem się, że zapada kolejny wieczór lata. Właśnie odrzuciłem odwołanie i mogłem poczuć, że fale krwi rozchodzą się we mnie miarowo. Nie potrzebowałem spotkania z kapelanem. Po raz pierwszy od długiego czasu pomyślałem o Marie. Nie pisała do mnie od wielu dni. Po namyśle powiedziałem sobie tamtego wieczoru, że mogło ją znużyć bycie kochanką skazańca. Przyszło mi także na myśl, że może jest chora albo umarła. Taki jest porządek rzeczy. Skąd mógłbym wiedzieć, skoro poza naszymi dwoma ciałami, teraz rozdzielonymi, nic nas nie łączyło ani o sobie nie przypominało. Zresztą od tego momentu wspomnienie o niej byłoby mi obojętne. Martwa Marie już by mnie nie interesowała. I uznawałem to za rzecz normalną, świetnie rozumiejąc, że ludzie zapomną o mnie po mojej śmierci. Co im po mnie. Nie mógłbym nawet powiedzieć, że trudno mi było o tym myśleć.

Właśnie w tym momencie wszedł kapelan. Na jego widok przebiegł mnie lekki dreszcz. Zauważył to i powiedział, żebym się nie lękał.

Powiedziałem, że zazwyczaj przychodzi o innej porze. Odrzekł, że to są tylko przyjacielskie odwiedziny bez związku z moim odwołaniem, o którego losach nic nie wie. Usiadł na pryczy i poprosił, bym się dosiadł. Odmówiłem. Odniosłem jednak wrażenie, że ma bardzo łagodny wyraz twarzy.

Siedział, opierając się łokciami o kolana, i ze spuszczoną głową wpatrywał się w swoje ręce. Były wysmukłe i muskularne, przypominały mi dwa zwinne zwierzątka. Powoli ocierał dłonie jedna o drugą. Zwiesiwszy głowę, pozostał w tej pozie tak długo, że przez chwilę wydawało mi się, że o nim zapomniałem.

Jednak raptem uniósł głowę i spojrzał mi w twarz: „Dlaczego – powiedział – odmawia pan spotkania ze mną?". Odpowiedziałem mu, że nie wierzę w Boga. Chciał się dowiedzieć, czy jestem tego pewien, i odrzekłem, że nie muszę się nad tym zastanawiać: pytanie wydaje mi się bez znaczenia. Wówczas odchylił się i oparł o mur, kładąc ręce na uda. Jakby nie mówiąc do mnie, zauważył, że czasem wydaje się nam, że jesteśmy pewni, a w rzeczywistości bynajmniej takiej pewności nie mamy. Nic nie mówiłem. Spojrzał na mnie i zapytał: „Co pan o tym sądzi?". Odpowiedziałem, że to możliwe. O ile jednak nie byłem może pewny tego, co rzeczywiście mnie interesuje, o tyle byłem całkowicie pewny tego, co mnie nie interesuje. I akurat to, o czym mówił, nie interesowało mnie.

Odwrócił wzrok i nadal nie zmieniając pozycji, spytał, czy nie mówię tego w przystępie rozpaczy. Wyjaśniłem mu, że nie jestem w rozpaczy. Po prostu boję się, to naturalne. „Bóg zatem mógłby panu pomóc – zauważył. – Wszyscy w pańskim położeniu, których poznałem, zwracali się ku Niemu". Przyznałem, że mieli do tego prawo. Dowodziło to również tego, że mieli czas. Co do mnie, nie chciałem, żeby mi pomagano, i właśnie czasu mi brakowało, aby interesować się tym, co mnie nie interesuje.

W tej chwili jego dłonie wykonały gest zniecierpliwienia, lecz opanował się i zajął układaniem fałd sutanny. Kiedy skończył, zwrócił się do mnie, nazywając mnie „swoim przyjacielem": mówił tak nie dlatego, że byłem skazany na śmierć; jego zdaniem wszyscy jesteśmy skazańcami. Ale przerwałem mu, mówiąc, że to nie jest to samo, i zresztą w żadnym wypadku nie może być pocieszeniem.

„Z pewnością – potwierdził. – Ale umrze pan kiedy indziej, jeśli nie umrze pan dzisiaj. To samo pytanie zawsze powróci. Jak podejdzie pan do tej straszliwej próby?" Odpowiedziałem, że podejdę dokładnie tak, jak czynię to teraz.

Na te słowa wstał i spojrzał mi prosto w oczy. Dobrze znałem tę grę. Często zabawiałem się w ten sposób z Emmanuelem lub Céleste'em i na ogół to oni odwracali oczy. Również kapelan dobrze znał tę grę, pojąłem to natychmiast: jego wzrok nie drżał. Nie zadrżał mu także głos, kiedy powiedział: „Zatem nie ma żadnej nadziei i żyje pan z myślą, że umrze pan wszystek?". „Tak" – odpowiedziałem.

Wtedy spuścił głowę i ponownie usiadł. Powiedział, że mnie żałuje. Uważał za niemożliwe, by człowiek mógł coś takiego znieść. Poczułem tylko, że zaczyna mnie nudzić. Odwróciłem się i podszedłem do okienka. Oparłem się ramieniem o mur. Usłyszałem, że znowu mnie o coś pyta, lecz nie śledziłem jego słów. Mówił głosem niespokojnym i nalegającym. Zrozumiałem, że jest wzruszony, i zacząłem się przysłuchiwać.

Mówił o swojej pewności, że odwołanie zostanie przyjęte, ale że dźwigam brzemię grzechu, które powinienem zrzucić. Wedle niego sprawiedliwość ludzka jest niczym, a sprawiedliwość boska wszystkim. Zwróciłem mu uwagę, że to ta pierwsza wydała na mnie wyrok. Odrzekł, że jednak nie zgładziła mego grzechu. Powiedziałem mu, że nie wiem, czym jest grzech. Powiadomiono mnie tylko, że jestem winny. Byłem winny, płaciłem, nie można było żądać ode mnie więcej. W tym momencie wstał ponownie i pomyślałem, że w tej tak ciasnej celi nie miał wyboru, jeśli chciał się ruszyć. Trzeba było albo usiąść, albo wstać.

Wbiłem wzrok w podłogę. Uczynił krok w moją stronę i przystanął, jakby nie śmiał podejść bliżej. Przez kraty patrzył w niebo. „Mylisz się, synu – powiedział – można żądać więcej. I być może będzie się żądać". „A czegóż to?" „Można by żądać, byś zobaczył". „Zobaczył co?"

Kapelan rozejrzał się wokół siebie i odpowiedział głosem, który nagle zdał mi się znużony: „Z wszystkich tych kamieni sączy się ból, wiem o tym dobrze. Nigdy nie patrzyłem na nie bez trwogi. Lecz

w głębi serca wiem, że najnędzniejsi spośród was ujrzeli twarz Boga wynurzającą się z ich ciemności. I to ujrzenia tej twarzy żąda się od pana”.

Nieco się ożywiłem. Powiedziałem, że w te kamienie wpatruję się od miesięcy. Nie ma nikogo i niczego, co bym znał lepiej na świecie. Być może dawno temu szukałem w nich twarzy. Ale ta twarz miała kolor słońca i płomień pożądania: to była twarz Marie. Szukałem jej na próżno. Teraz jest po wszystkim. A w każdym razie nie widziałem, by coś z tych mokrych kamieni się wynurzyło.

Kapelan spojrzał na mnie jakby ze smutkiem. Stałem teraz oparty plecami o mur i światło spływało mi na czoło. Powiedział kilka słów, których nie dosłyszałem, i bardzo szybko spytał, czy pozwolę się uścisnąć. „Nie” – odpowiedziałem. Odwrócił się i podszedł pod mur, po którym powoli przesunął dłonią. „Zatem do tego stopnia kocha pan tę ziemię?” – wyszeptał. Nic nie odpowiedziałem.

Przez dłuższy czas stał odwrócony. Jego obecność ciążyła mi i mnie drażniła. Już miałem mu powiedzieć, by sobie poszedł, zostawił mnie, kiedy zwróciwszy się w moją stronę, wykrzyknął jakby w olśnieniu: „Nie, nie mogę panu uwierzyć. Jestem pewien, że zdarzyło się panu pożądać innego życia”. Odrzekłem mu, że tak, naturalnie, lecz to nie miało większego znaczenia, niż gdybym pragnął być bogatym, szybciej pływać albo mieć lepiej skrojone usta. To należało do tego samego porządku. Ale przerwał mi, chciał się dowiedzieć, jak miałoby wyglądać to inne życie. Wtedy krzyknąłem w jego stronę: „Tak, żebym mógł wspominać obecne życie”, i od razu powiedziałem, że mam już dość. Zamierzał jeszcze mówić mi o Bogu, lecz podszedłem do niego i po raz ostatni usiłowałem mu wyjaśnić, że zostało mi niewiele czasu. Nie chciałem go tracić z Bogiem. Spróbował zmienić temat, pytając, czemu mówię do niego „pan”, a nie „mój ojcze”. Zirytowało mnie to i odpowiedziałem, że nie jest moim ojcem: jest po stronie innych.

„Nie, mój synu – powiedział, kładąc mi dłoń na ramieniu. – Jestem z tobą. Ale ty tego nie możesz wiedzieć, gdyż twoje serce jest ślepe. Będę się za ciebie modlił”.

Wówczas, nie wiem czemu, coś we mnie pękło. Zacząłem krzyczeć na całe gardło, zwymyślałem go, powiedziałem, by się nie modlił.

Chwyciłem go za stójkę sutanny. Wylewałem na niego wszystko, co wezbrało mi w sercu, ziejąc radością zmieszaną z gniewem. Wyglądał na tak pewnego siebie, czyż nie? A przecież żadna z jego pewności nie jest warta jednego włosa kobiety. Nie był nawet pewny tego, że żyje, bo żył jak człowiek martwy. Owszem, ja wyglądałem na kogoś, kto ma puste ręce. Lecz byłem pewny siebie, pewny wszystkiego, pewniejszy niż on, pewny mojego życia i śmierci, która nadchodziła. Tak, miałem tylko to. Ale przynajmniej ta prawda należała do mnie, tak jak ja należałem do niej. Miałem wcześniej rację, miałem jeszcze rację, wciąż miałem rację. Żyłem w taki sposób, a mogłem żyć w inny. Zrobiłem coś, a nie zrobiłem czegoś innego. Nie zrobiłem tego, a zrobiłem tamto. Więc co? Było tak, jakbym przez cały ten czas czekał na tę jedną minutę i na ten jeden świt, w którym zostanę usprawiedliwiony. Nic, nic nie miało znaczenia, i dobrze wiedziałem dlaczego. On też wiedział dlaczego. Podczas całego tego absurdalnego życia, które wiodłem, napływało ku mnie z głębi mojej przyszłości, od strony lat, które jeszcze nie nadeszły, niejasne tchnienie i to tchnienie zrównywało na swej drodze wszystko, co przyszło mi przeżywać w tamtych, bynajmniej nie bardziej realnych, latach. Cóż mnie obchodziła śmierć innych, miłość matki, cóż mnie obchodził jego Bóg, rodzaje życia, których się pragnie, los, który się wybiera, skoro jeden i ten sam los miał wybrać mnie i wraz ze mną miliardy uprzywilejowanych, którzy, jak on, kapelan, mienią się moimi braćmi. Rozumie to? Czy on to rozumie? Wszyscy są uprzywilejowani. Istnieją tylko uprzywilejowani. Innych też któregoś dnia skażą. On również zostanie skazany. Jakie miałoby znaczenie, gdyby, oskarżony o zabójstwo, został stracony za to, że nie płakał na pogrzebie matki? Pies Salamana wart był tyle samo co żona Salamana. Kobieta automat ponosi tę samą winę co paryżanka, którą poślubił Masson, czy Marie, która chciała, bym ja ją poślubił. Jakie to miało znaczenie, że Raymond był moim kumplem w równym stopniu co Céleste, który był więcej wart? Jakie ma znaczenie, że Marie podaje dzisiaj usta jakiemuś nowemu Meursaultowi? Czy on, skazaniec, rozumiał więc to, że z głębi mojej przyszłości… Traciłem dech, wykrzykując to wszystko. Ale już wyrywano mi kapelana z rąk i strażnicy brali się do mnie. On jednak ich uspokoił i przez chwilę

patrzył na mnie w milczeniu. Oczy miał pełne łez. Odwrócił się i wyszedł.

Po jego wyjściu odzyskałem spokój. Byłem wycieńczony i rzuciłem się na pryczę. Chyba spałem, bo obudziłem się z gwiazdami na twarzy. Docierały do mnie odgłosy wiosek. Zapachy nocy, ziemi i soli odświeżały mi skronie. Cudowny spokój lata wlewał się we mnie niczym morski przypływ. I w tej chwili, na skraju nocy, zawyły syreny. Zwiastowały wyjazd w świat, który był mi teraz na zawsze obojętny. Po raz pierwszy od bardzo dawna pomyślałem o mamie. Zdało mi się, że rozumiem, dlaczego na koniec życia wzięła sobie „narzeczonego", dlaczego zagrała w nowy początek. Tam, również tam wokół tego przytułku, w którym gasło życie, wieczór nadchodził niczym melancholijny rozejm. Choć tak bliska śmierci, matka musiała czuć się wtedy wyzwolona i gotowa przeżyć wszystko od nowa. Nikt, nikt nie miał prawa nad nią płakać. I ja, ja także poczułem się gotów przeżyć wszystko od nowa. Tak jakby tamten wielki gniew oczyścił mnie z bólu, opróżnił z nadziei, i zwrócony twarzą do tej nocy ociężałej od znaków i gwiazd po raz pierwszy otwierałem się na czułą obojętność świata. Doznając, jak bardzo jest do mnie podobny i jakże braterski, poczułem, że byłem kiedyś szczęśliwy i że nadal jestem szczęśliwy. Aby wszystko się dopełniło, abym poczuł się mniej samotny, pozostawało mi życzyć sobie, by w dniu egzekucji przyszło wielu widzów i by przyjęli mnie okrzykami nienawiści.

Proza światowa nakładem PIW-u:

Louis Aragon
Wieśniak paryski

Jorge Luis Borges
Alef
Fikcje

Albert Camus
Dżuma

Alejo Carpentier
Eksplozja w katedrze
Królestwo z tego świata
Podróż do źródeł czasu

Géza Csáth
Opium

Carlos Fuentes
Kraina najczystszego powietrza

Carlo Emilio Gadda
Niezły pasztet na via Merulana
Poznawanie cierpienia

Fritz von Herzmanovsky-Orlando *Maskarada geniuszy*

Henry James
Historie drobnoziarniste

Franz Kafka
Opowieści i przypowieści
Prozy utajone

Dezső Kosztolányi
Dom kłamczuchów

Gyula Krúdy
Miasto uśpionych kobiet

Arthur Machen
Wzgórze przyśnień

Giorgio Manganelli
Centuria. Sto krótkich powieści rzek

Herman Melville
Billy Budd
Moby Dick
Nowele i opowiadania
Taipi

Raymond Queneau
Zazi w metrze

Herbert Rosendorfer
Budowniczy ruin

James Schuyler
Alfred i Ginewra

Marcel Schwob
Żywoty urojone i inne prozy

Antal Szerb
Podróżny i światło księżyca

Robert Walser
Jakob von Gunten
Zbój